ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 226-83 i 152-05.

№ 4
WARSZAWA
DNIA 26 STYCZNIA 1913 R.

W przeddzień otwarcia nowego teatru.

Warszawa jest jedynem chyba dziś na kuli ziemskiej miastem 800 tysięcznem pozbawionem teatru prawdziwie artystycznego o repertuarze wielkim i szlachetnym.

Młodzież nasza kształci swe uczucia i język na wypełniających repertuar całoroczny warszawskiej sceny utworach początkujących pisarzy, których talent błysnął jak meteoryt oświetlony błyskawicami lokalnych wzmiankarzy. Dorastające pokolenie aktorskie, spala swój zapał dla sztuki i sceny w efemerycznych utworach, ród swój z Dulszczyzny wywodzących, nie znając królów ducha teatru, Szekspira, Sofoklesa, Moljera, Ibsena, Słowackiego i Wyspiańskiego.

Nieznajomość, oraz ignorancja tendencyjna szlachetnego repertuaru odbija się na całokształcie intelektualnego życia Warszawy. Zerwanie z tradycją, czerpanie repertuaru z bulwarowych teatrzyków paryskich, głuchota na wieści z Zachodu i Wschodu donoszące, iż teatr po dziesiątkach lat upadku przywdziewa szaty kapłańskie i zmienia się w świątynię, niewiara w szlachetny instynkt publiczności, która uczęszcza tłumnie dlatego do garkuchni, gdyż nie zaznała nigdy smaku ambrozji,— sprawia, iż dziś po całej Polsce rozchodzą się wołania:



Teatr Polski. **Scena z dekoracjami do „Irydjona".**

„Gospodarka aktorów! Kierunek dotychczasowy teatrów warszawskich przynosi szkody kulturze narodowej i artystycznej! Teatr Wielki powinien być tem słońcem, co rozjaśnia artyzmem nasze mroki, zapala w sercach entuzjazm, świeci przykładem, jak używać mowy polskiej; powinien pielęgnowaniem tragedji utrzymać w duszach poczucie wzniosłości. Demoralizacją narodową i artystyczną jest dzisiaj teatr, który nauczył ludzić chodzić do teatru, ale na sztuki obniżające poziom myśli i uczuć... Gdy się odświeży jakiś utwór Słowackiego np. „Lillę Wenedę", to w otoczeniu dekoracji ze starych oper włoskich przy grze tak banalnej, że wygląda to na chęć ostatecznego zdyskredytowania poety u publiczności... Nalepiej wystawioną i graną sztuką w ostatnim roku były... „Grube ryby" Bałuckiego. Normalnie zaś jest każde przedstawienie dla subtelniejszego trochę widza torturą"...

W ten sposób bywa informowaną intelektualna Polska o stanie teatrów warszawskich.

Współczesnym teatrem polskim nikt się poważnie nie zajmuje w czasie, gdy na każdą wybitniejszą premjerę teatru pędzi kurjerskim pociągiem sztab sprawozdawców francuskich i niemieckich do... Moskwy... pomijając Warszawę, bliższą Zachodu a jednak dalszą...

W przeddzień otwarcia nowego teatru polskiego wyrażamy nadzieję, iż zgrupowani w nim artyści zdają sobie sprawę, iż pracę nad polską kulturą teatralną począć trzeba od podstaw!

Jeśli nowy teatr nie ma być nowem, wygodnem miejscem flirtu i siesty poobiedniej, jeśli chce wypełnić tę samem istnieniem swem, po-

tworną lukę w Warszawie, jeśli buduje ołtarze prawdziwym bogom stawiane, wtedy dzień otwarcia jego będzie złotą głoską w historji teatru polskiego, któremu w przeszłości nie brak było kart dostojnych.

Powstanie teatru o aspiracjach artystycznych wpłynąć niechybnie musi na podniesienie poziomu teatrów, w których znicze świetnej tradycji dawno pogasły.

Marjan Dienstl.

„A choć nas dola jak paździerz rozprasza...“

II.

Rozpoczynamy naszą wędrówkę po zamorskich lądach charakterystycznym listem polskiego robotnika z Waszyngtonu do jednego z tutejszych pism.

„Po dłuższym czasie tułaczki i borykania się po świecie, piszę do was z wolnej ziemi Waszyngtona, z Ameryki; pomimo, że 3½ miljona naszych przebywa tutaj szukając chleba — tak mało wiemy o ich życiu...

Będąc w „starym kraju“ dużo słyszałem o panującym tu dobrobycie i swobodzie—bywało, że nawet gospodarze porzucali swoje strzechy, sprzedawali mienie i szli do Ameryki. Prawda, że niejeden się dorobił i z dorobkiem wrócił do Ojczyzny—ale ilu padło—ilu jest w nędzy...

Ja z początku udałem się do Pitsburga, gdzie jest fabryk bez liku, ludzie nasi przykuci do wiecznie zadymionego miasta, lecz z oszczędności swoich pobudowali już domy a nawet wznieśli 6 dużych, kosztownych kościołów.

Dawniej zarabiano więcej, dziś jest dużo gorzej, zawsze jednak nasz brat był w niewoli u bogatego przedsiębiorcy; bo tu w Stanach, pomimo konstytucji, rządzi całym krajem garść miljarderów; nad pracującym ludem zawisła ciężka, bezwzględna, wszechwładna ręka miljardera. A dziewczęta? Te, doprawdy, marnują się tu jak kwiaty skoszone, wiele z nich rzuca się na bezdroża... A jednak, gdy kto tylko z kraju posłyszy, że ten i ów przysłał żonie i dzieciom pieniądze, że nabył za nie kawałek ziemi, wnet jedzie by tworzyć te *nowe pułki*, na wojnę z biedą, na ciężki, często zwodny zarobek.

A jak przyjdzie bezrobocie, to miljony ludzi żyje bez pracy, bez jutra.

My jednak u siebie światła brać w głowę nie lubimy, u obcych, pod batem tylko umiemy pracować.

Połowa przemysłu w Ameryce jest prowadzona sposobem współdzielczym, my tego jeszcze nie potrafimy — chyba może, jak radził jeden z braci robotników, zaczniemy sobie tworzyć rolne kolonje współdzielcze...“

W myśl tę pisze także doskonały znawca stosunków wychodźczych, p. Okołowicz. „Nie ulega wątpliwości, że lepiej jest aby emigranci z zarobionym groszem powracali do kraju, gdy jednak tak się dzieje, że większość ich pozostaje w Ameryce i są niby to drzewo na obcy grunt przesadzone, a zapuściło już korzenie i na miejscu porastać musi, lepiej aby nie pozostawali w miastach, lecz osiadali na roli“.

Praca na własnem gospodarstwie nie rujnuje tak zdrowia, jak praca w fabrykach, daje większą niezależność i otwiera widoki na zdobycie z czasem większego majątku. Gazety polsko-amerykańskie podnoszą też i tę okoliczność iż rodacy nasi o ile osiadają na farmach obok siebie w znaczniejszych skupieniach, nie narażają się tak łatwo na wynarodowienie, nawet w następnych pokoleniach, w miastach zaś, gdzie wychodźcy żyją w rozproszeniu, zmuszeni są ciągle mówić po angielsku i zatracać własny obyczaj. Wyjątkiem są naturalnie takie miasta, jak Chicaco, Cleveland i inne — gdzie ludność polska tworzy osobne dzielnice i jest liczniejsza niż w miastach gubernjalnych Królestwa.

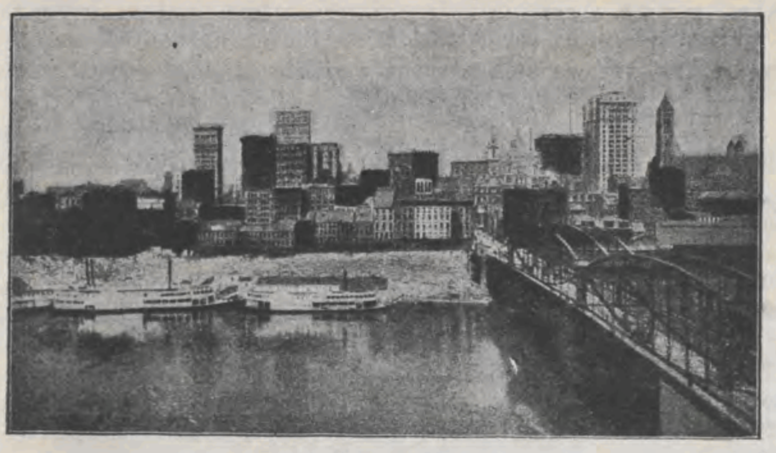
Krzyżowały się sprzeczne zdania, co do naszego osadnictwa w Panamie, ekspansję tego typu wywalczają sobie inne samodzielne państwa, uważając ją za korzystną dla swoich interesów gospodarczych — u nas podjęta przypadkowo, bez umiejętnego zabezpieczenia losów wychodźców na dalekiej obczyźnie, dużo szkód przyniosła. Pomimo to jednak zaprzeczyć się nie da, że nasz włościanin jest znakomitym materjałem kolonizacyjnym, wytrwałością zwycięża przeszkody i z trudnością podlega wynarodowieniu. Osadnicy panamscy po kilkunastu a nawet kilku latach doszli do znacznej zamożności i okazali wybitną dążność do kulturalnego postępu.

Pierwsza faza gdy tworzono tylko parafje i budowano kościoły, zadawalniając się tem przeniesieniem swoich obyczajów na grunt obcy, zaczyna się uzupełniać i rozszerzać zakładaniem coraz liczniejszych szkół początkowych. Typ pierwotny, o bardzo skromnym zakresie nauczania, zaczyna już nie wystarczać. Leży przed nami odezwa Towarzystwa, imienia Adama Mickiewicza w Rio-Claro, żądająca od Galicyjskiego Wydziału Krajowego przysłania nauczycieli ludowych do Panamy. Rzecz cała byłaby jednak poszła w odwłokę, pomimo zgłoszenia się aż 280 kandydatów, gdyby się było tem nie zajęło Krak. Tow. emigracyjne.

Pierwszy p. Wojtanowicz wyjechał do „młodej Polski“ i zapoczątkowuje dalszy bezpośredni stosunek ze ,,starym krajem“.

Stowarzyszenia oświatowe zawiązują się coraz liczniej; list z kolonji Guarany mówi o tych, które się utworzyły w prowincji Grande do Sul. Noszą one nazwy: Matki Boskiej Częstochowskiej, Św. Stanisława, które ma własny budynek szkolny, Matki Boskiej Wspomożenia wiernych, również ze szkołą.

List kończy się temi słowami: „My, polacy, zmuszeni pracować na obczyźnie, nie zapominamy o naszej matce, staramy się ożywić i wzmocnić uczucia polskie, wychowując w nich swoje dzieci, przypominamy im często bohaterskie dzieje pradziadów i żyjemy w tem przeko-



Widok Pittsburga od strony fabryk.

w ręku królewską koronę. „Nie śmie jej włożyć na głowę, ale też jej nie puści, trzyma silnie w ręku... i oczekuje.“

Jeszcze jeden list, z Missiones w Argentynie. Wychodźca prosi serdecznie o przysłanie mu polskich książek, założyliśmy tu trzy lata temu towarzystwo „Oświata“, jest około 80 członków, mieliśmy 50 książek sprowadzonych z Krakowa, tymczasem wybuchł pożar i wszystko się spaliło, zaledwie dzieci wyratowano. Zbieramy fundusze na nowy dom, są już kamienie i drzewo, brak tylko blachy na dach i pieniędzy — ale i te z pomocą Bożą się znajdą. Ach, jak tu smutno bez polskiej książki“.

naniu, że zrobiliśmy to wszystko, czego żądać od nas może ojczyzna...“

Z Porto Union da Victoria piszą, że niema tam kościoła, jest natomiast Towarzystwo imienia Słowackiego, do którego należą mężczyźni i kobiety. Stowarzyszenie to posiada bibljotekę i przystępuje do budowy domu szkolnego, który będzie miał 16 metrów długości a 10 szerokości.

Odzywa się też echo wyborów brazylijskich, jeden z korespondentów donosi z dumą o wybranych polakach, którzy zwyciężyli kandydatów niemców.

Po za Panamą istnieje jeszcze osadnictwo polskie w Kanadzie i Argentynie.

Ciekawy znajdujemy obraz życia tamtejszych kolonistów w organie hiszpańskich misji katolickich.

Biskup podczas swojej wizytacji pasterskiej, dotarł do Azary, zamieszkałej przeważnie przez naszych włościan.

„Jesteśmy w pełnej Polsce“, pisze, na „ziemi argentyńskiej. Jakże szlachetni, jak pracowici i prostoduszni są ci czcigodni wieśniacy, zamieszkujący piękne niwy w San Antonio w Azarze. Te ich chędogie i malownicze chaty, rozrzucone po polach!.. Pędzą oni życie, pracując cierpliwie i wesoło a nie mają innego upodobania jak pielęgnowanie swego ogniska domowego. Jedynem urozmaiceniem ich życia są piękne uroczystości w kościele... jest to rzecz podziwu godna; ten lud, co przybył z dalekiej północy a tak wytrwale pracuje w puszczy Argentyny“.

Że nie wystarcza im jednak samo „pielęgnowanie ogniska domowego“ i kościół, świadczy dalszy ciąg opisu. Jest tam mowa o zebraniu muzykalno - wokalnem, urządzonem na pamiątkę 10-lecia założenia kolonji, o pochodzie, w którym dziewczęta z wioski przedstawiały: Austrję, Polskę i Argentynę (wychodźcy pochodzili widać z Galicji). Polska trzymała

Tęsknota ta będzie obecnie zaspokojoną, otworzono już bowiem w Chicago filję polskich księgarń z Królestwa, za staraniem naszych amerykańskich rodaków — rozlecą się jak ptaki płody naszego ducha za oceanem, podnosząc i krzepiąc wędrowne dzieci ojczyzny, zespalając je ściślej z naszemi dążeniami i pracą.

Zbyt znane są dzieje naszego wychodźtwa w północnych stanach Ameryki, dochodzą nas stamtąd wiadomości i przez liczne tamtejsze pisma polskie i przez wytworzoną już w drugiem pokoleniu inteligencję. Potężne to już społeczeństwo, zróżniczkowane w poglądach i pracujące wydatnie na polu społecznego i narodowego uświadomienia.

Z poważnych zdobyczy ostatnich czasów, chcielibyśmy tylko zanotować znamienny fakt, ufundowania pierwszej, świeckiej szkoły wyższej polskiej w Ameryce, o współczesnym typie.

Zakupiono gmach w Wanadium, wartości miljona dolarów, staraniem Związku narodowego. Miejscowość jest doskonale wybrana, położona jest bowiem pomiędzy Nowym Yorkiem a Chicago, w pośrodku wielkich kolonji polskich: Buffalo, Cleveland, Detroit, Toledo i Pitsburg. Uczelnia ta została otwartą od września 1912 r. Skąpe jednak dotąd mamy o niej wieści, nie wiemy czy wykładający zostali powołani ze



Gmach, zakupiony przez Związek Narodowy Polski na wyższą szkołę polską w Cambridge Springs.

„starego kraju“, czy też rekrutują się z miejscowego żywiołu, w każdym razie najściślejszy kontakt z polskimi uniwersytetami byłby tu wskazany.

Na zakończenie jeszcze głos z Afryki — polski robotnik z Abder Rachim pisze do „Krakowskiej Pracy“:

„Kopalnia nasza należy do anglików, którzy sprowadzili nas za kontraktem, każdy z nas jest ubezpieczony na 5,000 fr.—pracuje nas tu kilkudziesięciu za dobrem wynagrodzeniem, bo jesteśmy majstrami a arabi są za palaczy, nie myślimy się jednak osiedlać na stałe. Wolny czas spędzamy jak możemy, mamy tutaj parę kalendarzy polskich i dwa numery gazetki „Przyjaciel ludu“, innych rozrywek niema, gdyż Abder Rachim jest pustynią. Kościół jest w Relizane i Maseara, ale oddalony o 68 kil. i podróż końmi kosztuje 60 fr. — raz jeden tylko więc być w nim mogłem...

Ukazaliśmy w niniejszym szkicu kilka placówek, na których pracuje lud polski - zdala od wszelkiej pomocy i wpływu, rośnie i potężnieje olbrzymi już dziś odłam narodu, odnajduje w sobie, na obczyźnie duszę polską i najlepszych naszych sił duchowych umiłowanie. Gdy nam dalekie echo przynosi jego głosy pragnienia i żądania, a nadewszystko gdy wnikniemy w niespożytą moc jego czynów, możemy śmiało powtórzyć za Wyspiańskim

...Jest wiele sił w narodzie...

I. W. Kosmowska.

LISTY Z BAŁKANU.

(Oryginalna korespondencja „Złotego Rogu“).

III. U JÓZEFA PISKI.

(Spotkanie we mgle. „Dziesienć świcek“. „Do widzenia na Boże Narodzenie“. Kolonja. Józef Piska opowiada swoje dzieje. Trzydzieści lat, ale pamięta, pamięta..)

Belgrad dnia 15 stycznia.

Była silna mgła: biała, gęsta i ciężka, zasunęła wieczorny świat, zalała tunele ulic, zrosiła bruki i chodniki, omroczyła kule elektrycznych lamp — że miasto wyglądało jak wilgotne wnętrze suterynowej pralni, w której kłębią się i biją na ulicę obłoki gorącej pary nad mydlinami i stosem mokrej bielizny.

Przechodziłem koło konaku, kołnierz do góry podniósłszy, spiesząc się i prychając nozdrzami, gdy znienacka, z za węgła królewskiego pałacu, w promykach bladego światła sączącego się przez zamglone szyby — doleciały mię dźwięki ukochane, wypięknione oddaleniem i tęsknotą.

Przesuwając się pod ścianami, nito aby drogi w białych tumanach nie zgubić, szło dwoje schylonych, spracowanych ludzi, w chustki po uszy zakutanych, prowadząc małego chłopaka za rękę, który dreptał szybko i kołysał się, nadążając rodzicom w stukocie podkówek na asfaltowym chodniku.

— Żeby tak jesce z dziesienć świcek mamo! ino dziesienć! modlił się malec do matki, garnąc się w fałdy sukni i przebierając pospiesznie nóżkami.

Przystanąłem jak wryty.

Schwycił mię ten szczebiot dziecięcy za serce, owionął jakby wonią bzów i czarem wiosny nagle rozkwitłej—i rzucił cień żalu na duszę.

„Dzieciaku mój, w obcych, dalekich zapomniany stronach! Dziesięć świeczek tylko do szczęścia ci trzeba?! „ino dziesienć świcek“ do twojego małego szczęścia!“

„Takie malutkie jest twoje pragnienie, a taki bezbrzeżny żal dźwięczy w twoich słowach.“

„Ach! wziąłbym cię ja w ramiona, przytulił mocno i poniósł w ziemię rodzoną, której twoje oczy niebieskie jeszcze nie widziały i w noc Chrystusową, słodką, tajemniczą zapalił ci całe lasy drzewek samemi świecami — setkami świec! Krociami, tysiącami świec!! i pił z twojej twarzyczki wniebowziętej radość „świcek“, radość twoją świetlaną, którąby może i mojej duszy dziecinną radość „świcek“ przyniosła.

Zanim miałem czas się zorjentować, zanim zdołałem jakiekolwiek zdanie, jakąkolwiek myśl w sobie sformułować, poskoczyłem ku chłopakowi i chwytając go za rączki, rzuciłem pełne uniesienia słowo:

— Polak?!

Dziecko instynktownie przytuliło się do matki, spłoszone niespodzianem natarciem, a rodzice żachnęli się, przystanęli i po sekundzie zdziwienia zawołali jednym głosem:

— *Jeste!* [1])

— I dawnoście tu? Kiedyście przyjechali? Co tu robicie?—pytałem szybko i bezładnie.

— Myśmy tu już dawno. Psesło tsydzieści lot, odparł ojciec takim akcentem, jakby się tego lata jeszcze w siwym kąpał Dunajcu — i pokrótce opowiedział mi szarą historję swego życia, gdzie było „trocha pracy, trocha biedy i wiela żalu za porzuconym krajem“.

— I już nie pamiętam jak się to potem stało: czy oni mnie zaprosili, czy też ja sam z tą propozycją wyszedłem — dość żeśmy się pożegnali, mówiąc sobie: „do widzenia na Boże Narodzenie.“

Kilka dni jeszcze czekać mi trzeba było, a dni te dłużyły mi się niecierpliwem oczekiwaniem.

Aż nadszedł pierwszy dzień Bożego Narodzenia.

Nabrałem pełne kieszenie gazet polskich, nakupiłem po drodze „świcek“, wina i cukierków i zapadającym wieczorem poszedłem w krwawą łunę zachodzącego nad Dunajem słońca.

Drogę miałem nie blizką.

---

[1]) Serbskie „jeste“ odpowiada naszemu: „tak jest“.



Konak belgradzki od strony ulicy.

Kolonja polska rozłożyła się na krańcach miasta, na wzgórzu, które nad całym Białogrodem panuje.

Przed jej nadejściem były tam
...wąwozy i jary
gdzie koczują wilki i tatary...

a dzisiaj rozciąga się schludne, zwartym ordynkiem zabudowane „polskie przedmieście".

Przeszedłszy wzdłuż całe niemal miasto i przepłynąwszy oceany błota, dobiłem do celu, gdy noc już rozpinała swe skrzydła nad ziemią.

Widzę: *Landánowa úlica broj* 56 [2])—mały domek, kryty gontami, wyglądający w ciemną przestrzeń trzema jasno oświetlonemi okienkami, przesłoniętemi bielą firanek.

Otwieram furtkę skrzypiącą, mijam drewniane słupy werandy, witam się z psem, który mię po przyjacielsku oszczekuje, łasząc się i merdając ogonem, jakbyśmy się od niepamiętnych czasów już znali — i zachodzę do wnętrza.

Z za progu kuchenki, z izby jasnej i pachnącej świerkiem, podnoszą się okrzyki pełne uradowania, wyciągają się ręce jak promyki światła i uśmiechają się twarze łagodne i życzliwe.

— Niech będzie pochwalony!.. Przyszli pan?!.. A my myśleli, że pan zapomni!.. Albo, że pan drogi nie odnalazł!.. Nie przelok sie pan błocka?! — krzyżują się zewsząd pytania i wykrzykniki.

Twarde, zamulone ręce ściskają mi dłonie, ściągają płaszcz, podsuwają krzesło, nalewają wina — a ja stoję na środku pokoiku, w kręgu bijącej światłości, jakiś radosny a onieśmielony, jakiś zakłopotany i odurzony i dziękując i płacąc uśmiechem za uśmiechy, poram się z uczuciem dziwnem, złożonem, nieokreślonem... Cała miłość istoty poczętej i wzrosłej wśród swojskości a dawno oderwanej od ziemi wzbiera we mnie i koncentruje się w tem powitaniu mowy polskiej, ścian polskich i serc polskich, daleko jak ja zgubionych na obczyźnie.

I przyłącza się jeszcze zdziwienie.

Byłem przygotowany na niedostatek, na biedę, na nędzę nawet, pamiętając spracowany wygląd tych ludzi przy pierwszem spotkaniu, a znajduję przytulną izdebkę, ogrzaną białym piecykiem, rozświetloną kręgiem lampy, rozpachniałą świerkowem drzewkiem i wonią świątecznej pogody.

„Pokój ludziom dobrej woli" czytam na ścianie i na twarzach mieszkańców i „pokój ludzi dobrej woli" spływa mi zwolna w duszę melodją ukojenia. —

Siadamy do stołu.

Ja na pierwszem miejscu, po prawej gospodyni, po lewej gospodarz.

Dalej jakiś czarny serb, cały owłosiony, który ma *duczan ze swe sorte sobnok namesztaja* [3]), żonę Polkę, ale brzydką, duże ślepia nierozumnego wołu i wałek tłuszczu nad kołnierzykiem.

Potem kilka jeszcze starszych kobiet i najmłodsza córka gospodarstwa — śliczna dziewczyna, która ma ciało jak wiosna, oczy jak obietnica i usta jak pragnienie.

Zaś naprzeciw, prosto naprzeciw mnie wychyla się z pod stołu, z głębokiego krzesła jasna główka i dzióbek drobniuchnej twarzyczki chłopaka, który patrzy w moje oczy nieprzerwanie, nieprzerwanie i promienieje zachwytem otwartych usteczek, jakby cały się wydzierał do czarująco-oświetlonego w katedrze ołtarza.

Dostał „świcki"!..

Gospodarz nalewa *kisznicę* [4]).

— Daj Boże zdrowie i Matka Bosko!

— Daj Boże Polakom!

Trącamy się, pijemy i rozpoczynamy gawędę.

Józef Piska będzie nam opowiadał swoje

---

[2]) Ulica po serbsku także ulica, jeno akcent na pierwszej zgłosce. Broj — numer.

[3]) Duczan — sklep, swe — wszystkie, sobny — pokojowy, namesztaja — meble.

[4]) Narodowa wódka serbska, podobna smakiem do kroackiej śliwowicy, nie mocna i śmiesznie tania.



Domek Józefa Piski. Od strony ogródka widać „werandę wspartą na drewnianych słupach", wejście do kuchenki", gołębnik i gołębie i w tyle zabudowania gospodarskie. Na prawo w słońcu Józefowa Piska Na lewo najmłodsza córka. Józef Piska był na robocie.

dzieje. Prosto, szczerze i naturalnie, językiem od pługa, jakby mówił o rzeczach codziennych. Tylko oczy będą coraz dalej patrzeć, w coraz bardziej nieuchwytną przestrzeń i w miarę ustających wspomnień poczną zachodzić leciuchną mgłą tęsknoty.

— Z których że to stron Polski jesteście, zapytuję.

— Proszę pana, to jest tak, pospiesza gospodyni, jakem wyszła kiedy o 5-ej z rana z domu, tom była na 11-ą na noc w Tarnowie. Przez Gromnik, koło Melsztyna, gdzie się Dunajec tak ślicznie wije...

— Et, nie bajdurzyłabyś tak osobliwie, gromi stary żonę. — Co panu z takiego gadania! Z pod Jasła jesteśmy, proszę pana. Pan wiedzom, gdzie Jasło?

— Wiem, w zachodniej Galicji.

— A no juści, pod Karpatami.

Wywędrowało ich kilka rodzin. Z bochenkiem chleba i dzieckami. W domu był głód i nijaka robota. Poszli szczęścia szukać. Na biały gościniec. Zamknęli chatę, wykąpali się po raz ostatni w swoim siwym Dunajcu, „wygramolili" się na Karpaty, obeźreli, pożegnali, popłakali i zeszli na węgierską stronę.

Od miasta do miasta, od biedy do biedy, przeszli Węgry całe, przeprawili się przez Dunaj i aż się w Belgradzie ostali.

Trzydzieści lat, długich trzydzieści lat... A zda się, jakby było wczoraj...

— I jakże wam tu teraz idzie, pytam z kolei.

— Ha, dawniej było lepiej. Człowiek był młodszy. I casy były inakse. Uciułało sie trocha *pary* [5]), kupiło sie trocha gruntu.

— To to ten grunt jest wasz?

— A jakże, — stwierdza z dumą żona. — I grunt i ogródek. A dom to mój Józek sam postawił. Sam jeden. Wszystko. Od podłogi do dachu. Wszystko jego ręce. Sadzimy sobie *krompir*.

— A ty mów po polsku, zbiera Józef Piska żonę.

— Ano, ziemniaki po naszemu. Mamy cebulę, mamy pszczółki, kury, gołębie i jednego kocora [6]). W niedzielę albo większe święto wyniesiemy sobie stoliczek do ogrodu, do słońca, patrzymy na góry, co tak czasem wyglądają jak nasze Karpaty, patrzymy na ptaki, co lecom z północy i tak sobie siedzimy.

— Na ptaki, co lecom z północy... powtarza jak echo Józef Piska.

Pamięta, pamięta...

Trzydzieści lat, długich trzydzieści lat...

Wyszedł chłopcem z Polski — w Serbji posiwiał...

Ale pamięta, pamięta...

Pamięta chatkę skrzywioną, kołami pod boki podpartą, pamięta dach słomiany, który krowa na przednówku do cna wyszczypała, aż ją sprzedać trzeba było, gdy nic nie ostało, pamięta gruszę jałową roztrzaskaną piorunem i rozczepioną na dwoje i ciepłą stajnię dworską z szeregiem tłustych zadów krowich i pyskatego kucharza, który po nocach po sadzie prześliczne melodje na skrzypcach wygrywał i pasiatą zapaskę Marysi i jej białe zęby...

Pamięta...

Chłopcem wyszedł z kraju, a na obczyźnie posiwiał, ale pamięta, pamięta...

— Wi pan, jak tak chodzę w robocie, abo po mieście sie kręcem, to nic. Ale jakem kiedy wyszedł na pole a dzień był jasny i daleko widny a popatrzył na północ, za Dunaj — tom płakał... A przecie jużem wielgi!..

Urwał.

Jakoś nieskładnie mu idzie. Odwraca głowę, patrzy po kątach i ukradkiem, nieznacznie rękawem po oczach przesuwa.

Żonie jest wstydno za męża. Taki stary... Ale rozumie. Żałość go rozebrała. Nie pierwszy raz. Spogląda nań, jakby mówiła: „Daj spokój, daj spokój, Józiek!"

I rękę mu na głowie poczciwym ruchem oparłszy, mówi do mnie, aby zagadać:

— I mnie jest czasem markotno, *mnogo* markotno. Tylo, że mam męża dobrego. Prosty jest, ale dobry. — No, daj spokój, Józiek, daj spokój!...

Józef Piska się zebrał, przemocą się otrząsł, jeszcze raz oczy grubą ręką przetarł i chwycił za kieliszek!..

— Ha! stało się! już ni ma co!... wyszeptał w cichym żalu rzeczy dokonanych już i minionych. „Daj Boże zdrowie i Matka Bosko!"

— Daj Boże, odpowiadam.

Trącamy się, popijamy i zabieramy się do wieczerzy, którą najmłodsza córka na stół wniosła.

Cisza zaległa izbę.

Głowy chylą się nad talerzami.

Wszyscy ze smakiem zajadają, głośno chlipcąc, tylko gospodarz łyżką w zupie gmera i do ust trafić nie może.

Po skończonym posiłku, chłopak zapala „świcki" a Piska powstaje z miejsca i wśród powszechnego milczenia intonuje głosem nizkim, trochę drżącym:

„W żłobie leży, któż pobieży...

A gdy prześpiewano, Piska znowu się podnosi i z widocznym wysiłkiem odgrzebuje z pamięci jakąś zwrotkę archaicznej kolendy:

Chryste, przez twe narodzenie
Daj nam duszne ucieszenie,
Odpuść nam nasze winy
Przez twoje najświętsze chrzciny.

Chryste! przez twe narodzenie... głos mu się załamał.

---

[5]) Dinar (równy frankowi) ma 100 para. Stąd pary używane w znaczeniu: pieniądze.

[6]) Kaczor.

Odchodzi do okna i każe dzieciom śpiewać.

Dzieci śpiewają, wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi... a Piska patrzy w przestrzeń.

Na siwą głowę pada srebrna struga światła. Księżyc w aureoli opyłu mlecznego wyszedł z za gór i zagląda przez szyby — ten sam księżyc, który chodzi teraz daleko nad Dunajcem i tak samo srebrzy jego siwe wody, w których przeglądają się szafirowe świerki lasów po górzystych ścianach na brzeg, nad wodę schodzących.

Józef Piska patrzy w okno, daleko, daleko... gdzie w białych śniegach kryją się okrągłe chatki pocięte w kwadraciki światełek, a brzegiem siwego Dunajca idą ludzie z jego wsi do kościoła, niosąc latarnie, które tańczą w mroku, jak błędne ogniki.

Józef Piska pamięta...

Mieczysław Jełowicki.



Własny domek krawca Ludwika Rutki (×). Obok żona Rutki, dalej dzieci polskie. Rutka miał 8 lat, gdy wywędrował z Grybowskiego. Nie umiał czytać ani pisać. Włócząc się po obcych ziemiach, zapomniał nawet mowy polskiej. Przyszedłszy do Belgradu. znalazł na dnie węzełka: „Intencje Serca Jezusowego" — kilka zniszczonych i podartych zeszycików czerwonych, które mu matka na drogę zapakowała. Na tem nauczył się czytać i pisać. Dziś kolonja powiada o nim. „wielki czytelnik i uczony". Utrzymywał nawet szkółkę dla dzieci, która teraz, da Bóg, będzie wznowiona. Jest kumem całej kolonji.

Czterdziesta rocznica śmierci Napoleona III-go.

Śmierć Napoleona III-go, w dniu 9 stycznia 1873 roku, była groźnym ciosem dla bonapartystów. Wprawdzie opinja narodowa już w roku 1870 przechyliła się na stronę dynastji Bonapartego, lecz wrogowie jej dokładali wszelkich możliwych starań, aby wyzyskać nieprzychylny dla bonapartystów nastrój pośród sfer konserwatywnych. Ale bonapartyści dość szybko zorjentowali się w sytuacji, i poczęli dokładać wszelkich starań, aby tron francuski zapewnić Bonapartemu. Nagła śmierć Napoleona III-go przyśpieszała możliwość spełnienia tych dążeń. Żył jeszcze syn Napoleona III-go, na którym skupiły się wszystkie nadzieje. W cesarzowej, przebywającej na wygnaniu, znaleźli bonapartyści żywe poparcie dla swych dążeń, skierowanych w celu osadzenia na tronie jej syna. I oto stała się rzecz dziwna. Młody książę, Ludwik Napoleon sam udawał się do Natalu, na pole walki, gdyż tego gorąco życzyła sobie matka. Tym, którzy mu w tej podroży chcieli towarzyszyć, odrzekła: „Nikt nie powinien towarzyszyć memu synowi. Włoży on uniform żołnierski, i będzie uważany za zwykłego szeregowca. Niech własnemi zasługami zdobywa swe szlify".



Napoleon III na krótko przed śmiercią.



Ex-cesarzowa Eugenja w swej rezydencji na Cap Martin.

Z listów i z innych dokumentów można sądzić, że książę sam liczył na to, że wstąpi na tron francuski.

I oto młody Ludwik Napoleon pojechał do Natalu, aby wziąć udział w wojnie, która miała być pierwszym szczeblem do sławy, po drabinie zasług. Być może, że jadąc na obcą ziemię, i do obcej wstępując armji, chciał usprawiedliwić pokładane w nim nadzieje—wojna jedyną była ku temu sposobnością.

Kiedy w Lonhampton wstępował na pokład „Damby" na maszcie podniesiono trójkolorowy sztandar, i grzmot oklasków rozległ się z wybrzeża zapełnionego wielotysięcznym tłumem.

W Natalu zaliczono go w poczet sztabu lorda Chelmsforda. Razu pewnego, jadąc przez las, osaczony został przez oddział zulusów. Siedemnaście lanc utkwiło w ciele tego, który był nadzieją Francji, i ucieleśnieniem wszystkich marzeń swej matki.

Pięćdziesięcioletni jubileusz pracy społecznej Stanisława Rotwanda.

Dla społeczeństw, którym los nie zwykł uśmiechać się a ciężka dola przygniata je brzemieniem rzeczywistości, niosącej tylko ciernie, skrzętnie zaś kryjącej róże i blask kwiecia pod ponurymi zwojami swego płaszcza — jaśniejszym promieniem, słonecznym uśmiechem z za chmur są chwile gdy mogą społeczeństwa te oddawać hołd zasłużonym swym mężom, których życie było jednem gorącem poświęceniem i jedną usilną pracą dla dobra narodu.

Taką jasną chwilą było niezaprzeczenie oddanie czci mężowi, który wielkie zasługi położył dla kraju — Stanisławowi Rotwandowi w dniu pięćdziesięcioletniego jubileuszu jego pracy, na polu społecznem.

Działalność Stanisława Rotwanda obejmuje tak szeroki zakres, że niepodobna przecież — w zwykłych ramach dziennikarskich skreślić należycie jego zasługi, pobieżny ten rys z natury rzeczy będzie więc tylko uogólnieniem ich, przypomnieniem i streszczeniem.

W r. 1861 po ukończeniu kursów prawniczych, po powrocie z Petersburga do Warszawy, rozpoczyna Rotwand swą działalność społeczną, jako jeden z najczynniejszych kierowników świeżo założonych wówczas czyteln ludowych, rozrzuconych w uboższych dzielnicach miasta. Celem czytelni tych było przedewszystkiem rozbudzenie wśród drobnego mieszczaństwa i robotników zamiłowania do książek i krzewienie tym sposobem oświaty wśród mas, pozbawionych możności kształcenia się.

W dobie popowstaniowej zakłada Rotwand ochronki i kolonje letnie; utrzymuje takowe własnym kosztem, rozwija i powiększa.

Następnie, łącznie ze swym szwagrem ś. p. Hipolitem Wawelbergiem powołuje do życia instytucję doniosłą — muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej i zaznacza się nad wyraz owocną działalnością, jako prezes tejże instytucji.

Oświata sfer rzemieślniczo-handlowych leży najbardziej na jego sercu, zakłada więc dalej trzyklasową kupiecką i siedmioklasową handlową szkołę, a prócz tego rozwija inne szkoły, których jest opiekunem, i w znacznej mierze łoży na ich utrzymanie.

W końcu powstaje, założona przez niego szkoła im. Wawelberga i Rotwanda, nietylko wzorowo urządzona ze swej strony technicznej, lecz również skupiająca najcelniejsze siły profesorskie.

Czcigodny jubilat piastuje między innemi godność prezesa komitetu giełdowego, starszego Zgromadzenia kupców Warszawy, członka komitetu nadzorczego Tow. Kred. m. Warszawy i członka Rady Państwa z wyboru.

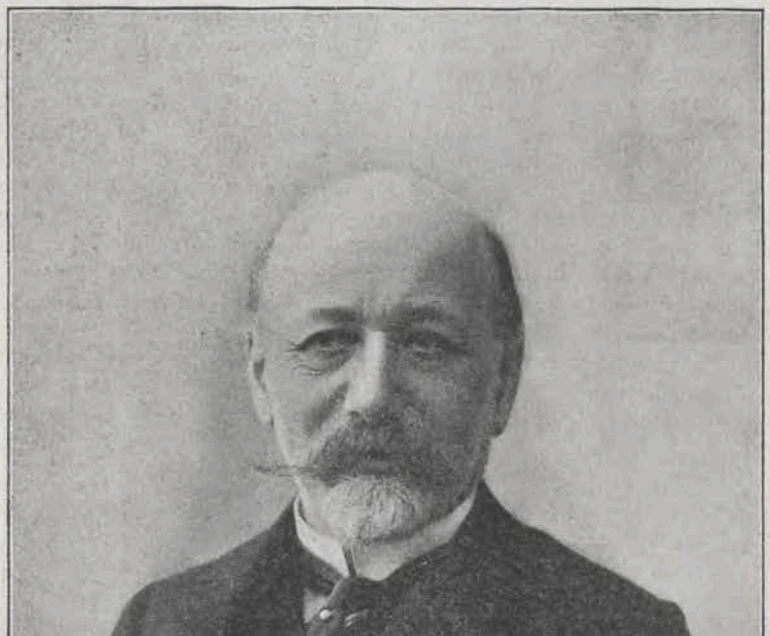
Wszędzie, gdzie tylko wzywała go potrzeba społeczna, stawał Rotwand nietylko z poparciem materjalnem lecz i z sercem współczującem, światłą swą radą i niezmożoną pracą.

To też jubileusz zasłużonego męża, który społeczeństwo nasze obchodziło w dniu 19 stycznia r. b. był wyrazem szczerej wdzięczności, jaką wszyscy żywimy w sercu, pomni na jego czyny.

W wielkiej sali Muzeum przemysłu i rolnictwa zebrali się delegaci instytucji oświatowych, przemysłowych, handlowych i liczni przedstawiciele szeregu innych jeszcze instytucji społecznych.

Pierwszy przemówił prezes dyrekcji Tow. Kred. m. Warszawy p. Aleksander Czajewicz, wręczając dar w sumie 15000 rb. do dyspozycji jubilata na cele kulturalno-oświatowe.

Po szeregu innych, równie gorących i podniosłych przemówień, jubilat zwrócił się do obecnych ze słowem podzięki,



STANISŁAW ROTWAND.
Pięćdziesięcioletni jubileusz pracy na niwie społecznej.

oświadczywszy jednocześnie, że do daru jubileuszowego syn jego, Andrzej Rotwand, dołącza jeszcze 25000 rb. a sam jubilat zaokrągla tę sumę do 100,000 rb. powołując jednocześnie ofiarodawców do opracowania łącznie z nim statutu instytucji, która z funduszu tego ma być ufundowana.

Zasłużony hołd złożyło społeczeństwo w dniu jubileuszu szlachetnego i światłego męża.

W. Z.

Nowy prezydent francuski.

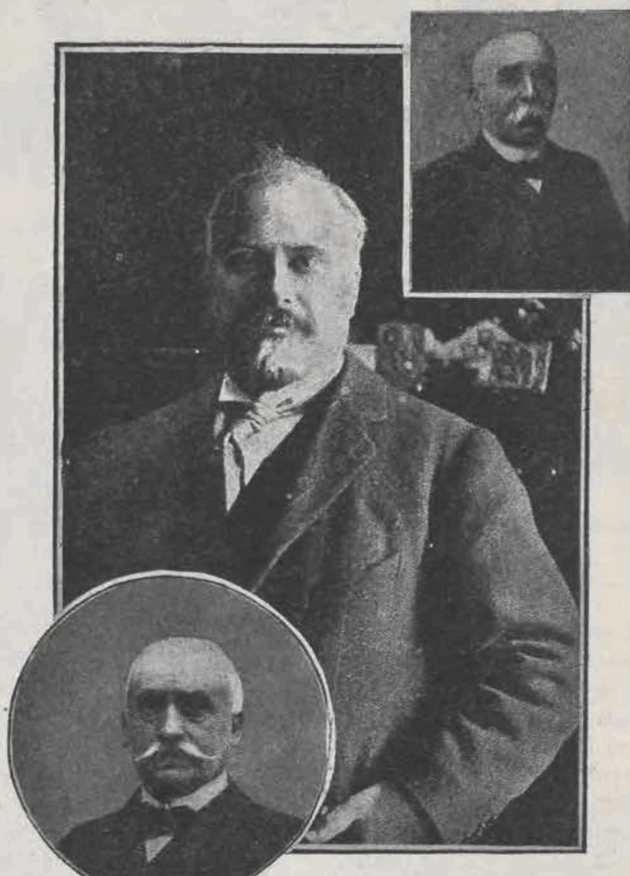
Francja ma nowego prezydenta. Jest nim Raymond Poincaré, dotychczasowy prezes ministrów. Pierwszy to prezydent od lat 40-tu, o którym cała Francja mówi, że powołany został wolą narodu na najwyższe stanowisko w kraju.

Dotychczas prezydentów powoływała wola tej lub owej partji politycznej, albo tych lub owych połączonych stronnictw. Dotychczas partje radykalne rej wodziły przy wyborach, one podsuwały kandydatów, one ich przeprowadzały, — one też za piecami „swojego“ prezydenta rządziły Francją.

Teraz stało się inaczej. Ostatni gabinet ministerjalny przyszedł do steru wbrew woli radykalistów; był poniekąd wyrazem ustępstwa z ich strony na rzecz opinji publicznej, domagającej się rządu „narodowego“. Trzeba jednak pamiętać, że przymiotnik „narodowy“ ma we Francji niemal wręcz przeciwne niż u nas znaczenie, oznacza bowiem coś, co niema nic wspólnego z partyjnością. Poincaré przewodniczył pierwszemu od lat wielu rządowi „narodowemu“, a obecnie jest pierwszym „narodowym“ prezydentem.

Zmiana to poważna. Zazwyczaj stanowisko prezydenta zajmowali dostojni figuranci, ludzie bezosobiści, podpisujący wszystko, co im do podpisu podsunięto. P. Poincaré—to zupełnie co innego; to człowiek, który nigdy nie był manekinem, i nadal być nim nie zechce. Indywidualność to wybitna, zarówno na polu nauki, jak i w dziedzinie polityki. Stanął na czele kraju nie po to, by nim kierowano. Przeciwnie, on zechce kierować stronnictwami.

Tego najbardziej obawiali się przywódcy partji radykalnych i rozsnuli misterną tkankę intrygi, by nie dopuścić do wyboru Poincarégo. Intryga to tak znamienna, że warto ją zanotować.



Raymond Poincaré nowoobrany prezydent rzeczypospolitej francuskiej.
Niżej: **M. Pams.** Wyżej: **Clémenceau.**
(Najgroźniejsi przeciwnicy Poincarégo).

Na czele przeciwników Poincarégo stał ex-minister, przywódca radykałów Clémenceau. Za jego wskazówką minister wojny, Millerand, radykalista, wydał rozporządzenie, przywracające do służby w wojsku pułkownika Paty du Clam, głośnego w swoim czasie oskarżyciela Dreyfusa, a wydalonego z armji, gdyż padło nań podejrzenie, że w zapędzie nienawiści ku Dreyfusowi dopuścił się fałszerstwa dokumentów. Przywrócenie Paty du Clama miało skompromitować rząd, a przedewszystkiem Poincarégo, który wystąpił jako kandydat do fotelu prezydenta. Jeśliby rząd zsolidaryzował się z krokiem Milleranda, to byłby skompromitowany w oczach całej Francji liberalnej; w przeciwnym razie musiałoby nastąpić przesilenie w gabinecie, co zawsze wychodzi na szkodę jego prezesa.

Plan był zręczny, a tak wierzono w jego powodzenie, że radykaliści z całą ufnością wysunęli kandydaturę „swojego“ człowieka, ministra Pamsa, bogacza, bez przekonań, który byłby figurą malowaną, uległą radykalistom. Ale Poincaré tak pokrzyżował cały ten plan, że ofiarą padł tylko Millerand. Intryga, w porę odsłonięta, zamiast osłabić, wzmocniła Poincarégo.

Szkoda tylko Milleranda. Ten niegdyś zaciekły socjalista, był jednym z najdzielniejszych ministrów wojny, jakich Francja republikańska posiadała. Armja miała do niego wielkie zaufanie. Następcą jego mianowany



Lebrun. Pułkownik du Paty de Clam. Millerand.
(Kampanja przeciwko Poincarému).

został Lebrun, lecz ten, wobec uformowania nowego gabinetu, zaledwie przez dni kilkanaście zajmował to stanowisko.

Wybór Poincarégo wielce jest charakterystyczny. Francję znużyły już rządy klik partyjnych. Kraj pragnie widocznie odetchnąć swobodniej, przystąpić do akcji szerszej, stanąć na czele narodów europejskich, jak to dawniej bywało, i poprowadzić je po drodze cywilizacji i postępu.

M.

PAJĘCZYNY TEATRALNE.

W świecie kulis, warszawskich teatrów dyplomacja tak jest rafinowaną, iż zginąłby rażony teatralnym piorunem sam Machiawelli, gdyby wplątał się raz w labirynt ambicyjek, płytkich erotomańskich kaprysów i kabotyńskich dziwactw. Znamy pierwszą w Polsce scenę. Rąbek tajemnicy kulis odważył się niedawno uchylić p. Rabski, z powodu wystawienia komedji fantastycznej S. Krzywoszewskiego „Djabeł i karczmarka", w której reżyser i aktor, dopuszczając się biernego oporu wobec sztuki wykonuje pozornie przepisy koranu reżyserskiego, bez krzty twórczej inwencji. Robota aktorska w tym wypadku została zniżoną do wartości odrabiacza cegieł, zgodzonego na dniówkę robotnika.

Reżyser stosując bierny opór kładzie sztukę cenionemu autorowi; autor w sposób ultraewangieliczny składa publiczne podziękowanie wielkiemu magowi teatru i reżyserowi, za opiekę rzetelną przy wystawieniu sztuki.

Rzecz dzieje się nie w Bizancyum średniowiecznem, lecz w współczesnej Warszawie, w środowisku ludzi przeważnie umysłowo zdrowych. Reżyser i wielki artysta czyta sobie nazajutrz podziękowanie autora po spożytym u siebie obiedzie, w bogato urządzonej, w stylu „Kempińskiego" jadłodajni „Trianon" i śmieje się do rozpuku w drugim zakładzie kinematograficzno - gastronomicznym, dowcipnie nazwanym „ Satyrem"...

W lokalu tym Satyr dzierży kulę szklaną przedstawiającą symbolicznie warszawski świat teatralny...

Wtajemniczeni opowiadają, iż po północy Satyr opuszcza kulę i udaje się do kantorku, by zliczyć dzienne dochody za piwo, zakąski, wódkę i „wykolejonych"... Satyrze, w roztropności głupi! Bacz na kulę, by nie prysła pod pijacką pięścią gości, których zachęcasz do bywania w wygodnych barach i w historyczno - maniackim stylu, urządzonych kinematografach a odstręczasz od chodzenia... do teatru, z którego masz chleb codzienny „Trianona" i „Satyra".

W nowej, znakomitej roli bussnesmana obowiązuje ta sama etyka kupiecka we wszystkich trzech zakładach: w jednym, sumienna artystyczna praca, w drugim, świeże zakąski i niefałszowane napoje, w trzecim, ostatnie sensacyjne nowości z kogucikiem, lub osiołkiem. Przykro byłoby skonstatować, iż tamte zakłady obsługujesz lepiej, niźli Rozmaitości.

A zresztą gościnne występy też do czegoś zobowiązują.

Rolę Rożnika w Djable i Karczmarce objął młody artysta p. Osterwa, który sumienną grą swą sztukę Krzywoszewskiego od niechybnej śmierci samobójczej wyratował, nadając odtwarzaniem właściwem roli komedji nowe życie i młodość. *(m. d.)*



Osterwa w roli djabła Rożnika w sztuce „Djabeł i karczmarka".

Teatr Mały. -- „Nasi zięciowie".

Nie starzeją się widać sztuki Kazimierza Zalewskiego, z prawdziwem też zajęciem słuchaliśmy w teatrze Małym „Naszych zięciów", którzy dziś są tymi zięciami jakimi byli dawniej i napewno długo jeszcze takimiż, nie starzejąc się, pozostaną. Wymagania nasze się zmieniły a jednak z zajęciem śledzi się jeszcze dziś akcję dawnych sztuk Zalewskiego. Wznowieni „Nasi zięciowie" zajmują nas dzisiaj nie tylko ze względu na artystyczne odtworzenie typów, lecz i ze względu na temat aktualny. Proszę, idźcie tylko zobaczyć tych wszystkich tam geldhabów i geldmacherów. Nie wchodząc w szczegółową ocenę sztuki, która przecież ma już swoją historję, zaznaczamy tylko dobrą na ogół grę aktorów, wśród których płeć piękna stanowczo zdobyła palmę pierwszeństwa. *Z.*

Schronisko Dzieci Marji.

Na Schronisko Dzieci Marji odbył się w ubiegłym tygodniu wspaniały bal, który przynajmniej choć w pewnej części podratował fundusze tej tak pożytecznej instytucji; nie mniej jednak wciąż potrzebne są nowe ofiary, bez poparcia bowiem materjalnego nie mógłby się zakład należycie rozwijać.

A teraz parę słów o instytucji. Schronisko 8 lat temu zostało założone z inicjatywy ks. prałata Marcelego Godlewskiego, w celu dania nie tylko przytułku biednym sierotom lecz również i fachu do ręki, który pozwoliłby im uczciwą pracą zarabiać na życie, skoro tylko opuszczą mury schroniska.

Zakład przyjmuje tylko dziewczęta, zupełne sieroty, pozbawione opieki i środków do życia.

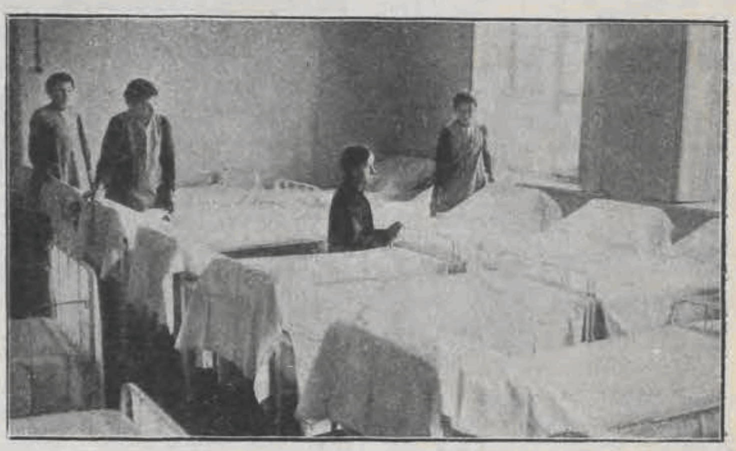
Należy zaznaczyć, że dzięki wysiłkom i energji założycieli oraz opiekunów, instytucja bardzo pomyślnie się rozwija a od wiosny r. ub. mieści się już w własnym domu, zaś w najbliższej przyszłości projektowane jest pobudowanie gmachu nie tylko na powiększenie schroniska (liczącego obecnie 36 sierot), lecz i na szkołę gospodarstwa domowego, zupełnie odmiennego nowego typu, na wzór belgijskich i szwajcarskich zakładów tego rodzaju.

Do szkoły tej, prócz wychowanek zakładu, mają być przyjmowane córki robotników.

Szkoła, obliczona na większą skalę, z zastosowaniem wszelkich nowoczesnych urządzeń, niewątpliwie pochłonie duże sumy, to też szczególnie teraz, pożądane są ofiary, któreby mogły przyczynić się do jaknajprędszego urzeczywistnienia wspomnianych zamiarów, założyciela schroniska ks. prałata Godlewskiego, przewodniczącej p. Aliny Baud oraz szeregu osób bliżej zajmujących się instytucją.



Schronisko Dzieci Marji. Grupa sierot wychowanek zakładu z wychowawczynią.



Schronisko Dzieci Marji. Sypialnia dla sierot.



Schronisko Dzieci Marji. Pawilon frontowy przy ul. Rakowieckiej № 7.
(Fot. W. Orłowski).



Tadeusz Jaroszyński. Za wieku starego. 1913.

W czasach, kiedy wszelkiej literaturze narodowej grozi zatracenie odrębności, zatarcie różnic indywidualnych przez szary pokost kosmopolitycznych koncepcji — książka, będąca wybitnem świadectwem przynależności do takiej, a nie innej literatury, z podłoża jej psychiki żywotne soki czerpiąca—jest czemś, co należy cenić i kochać — bowiem stanowi przejaw niewysychających krynic ducha.



Tadeusz Jaroszyński.

Taką książką, ogromnie *polską*, wolną od obcych naleciałości, odzwierciadlającą polskość w jej najcharakterystyczniejszym wyrazie—jest ostatnia powieść Tadeusza Jaroszyńskiego p. t. „Za wieku starego". Pisana archaiczną polszczyzną, sprawia wrażenie barwnego, spłowiałego gobelinu, na którym wyrażona została historja przygód niezwykłych pana Trzaski, krakowskiego podpisarza, Haliny, księżniczki greckiej, Pawła syna marnotrawnego i pięknej Kasieńki. Wszystko to, traktowane z jakąś niewysłowioną pogodą, tak właściwą Jaroszyńskiemu, składa się na głębokie, prawdziwie artystyczne dzieło kunsztu naracyjnego. *J. A.*

MIECZ I DYPLOMACJA.

Najświeższy rozdział historji ludów bałkańskich dobiega do końca. Historja to bardzo stara, bo poczynająca się od Aleksandra Macedońskiego, a zawsze pełna rozmaitych niespodzianek. Półtora tysiąca lat temu nikt nie przewidział, że półwysep Bałkański, przeważnie zamieszkały będzie przez słowian; tysiąc lat temu niktby nie przypuścił, że Turcy nad nim panować będą; a ktoby pięćset lat temu wróżył o wyrzuceniu Turcji z Europy, uznano-by go za szaleńca. A jednak tem właśnie kończy się najświeższy rozdział dziejów bałkańskich.

Turcja cofa się najwidoczniej i gotowa jest ustąpić z terenu europejskiego. Nie dlatego, by ją na głowę już pobito: trzyma się jeszcze w Adrjanopolu, w Scutari, a i pod Czataldżą prawdopodobnie długoby jeszcze trzymać się mogła. Turcja musi ustąpić z Europy, bo jej strupieszały ustrój państwowy nie ma sił do bronienia swego bytu, za-



Przygotowania wojenne baterji bułgarskich na linji Czataldży.



Sypanie świeżych szańców i praca przy okopach.



Szpitale polowe. Usuwanie zmarłych.

chwianego już od wieku, lecz utrzymującego się tylko intrygą i kłamstwem.

I teraz jeszcze intrygą i kłamstwem Turcja ratować pragnie ostatek dni swoich w Europie.



Delegaci armji bułgarskiej i tureckiej na linji Czataldży.
1) Generał Fitczew, 2) dr. Danew, 3) Nazim pasza, — generał Safow, 4) Raszyd pasza.

Pamiętne będą tureckie komunikaty o wspaniałych zwycięstwach, gdy właściwie klęski trzeba było podawać do wiadomości. Według ostatnich komunikatów, flota turecka odniosła świetną wiktorję,—faktycznie zaś na głowę została pobita.

Widząc, że Bułgarja nie cofnie swych żądań, dotyczących Adrjanopola, Turcja proponowała oddanie tego miasta pod wspólne panowanie. Typowa intryga turecka. Dla Bułgarji propozycja taka nie miała żadnej wartości, ale uśmiechać się mogła ona Serbom, Grekom i Rumunom. Poróżnić Bułgarję z resztą państw bałkańskich: — oto cel przedostatnich propozycji tureckich.

Wynikiem ich byłoby prawdopodobnie przedłużenie rokowań pokojowych.

W ostatniej jednak chwili Turcja okazała się skłonną do ustąpienia Adrjanopola; wpłynie to niezawodnie dodatnio na dalsze rokowania pokojowe.

h. m.



Hr. Adam Orłowski,
polski „dyplomata", autor listów do izby francuskiej.

Donkiszot-Orłowski.

Kto słyszał o hrabi Orłowskim, dyplomacie polskim?

Nikt, prawda?

A jednak taki pan jest, istnieje i odgrywa rolę polityka na zachodnio-europejskiej widowni.

Wielka ilustracja angielska „Illustrated London News" umieściła na pierwszej stronie portret polskiego „dygnitarza" a i niektóre francuskie dzienniki poświęciły *idei Orłowskiego* krótsze lub dłuższe wzmianki, dość bezkrytycznie coprawda zastanawiając się nad planami „dyplomaty".

Posłuchajmy więc, jaką jest strategja hr. Orłowskiego.

Przedewszystkiem szuka on oparcia dla Austrji na Francji, Rosji i Anglji, chodzi więc o przeniesienie jej z trójprzymierza do trójporozumienia i uwolnienie z pod hegemonji Prus. Pośrednictwo zaś w tem wszystkiem ma objąć Francja, do niej też zwraca się przedewszystkiem imć p. Orłowski ze swymi listami.

Z podobnej kombinacji ma powstać Królestwo Polskie autonomiczne aż po morze Baltyckie, czyli w granicach z przed 1-go rozbioru—jednem słowem żongleruje sobie p. Orłowski naszymi losami i jak widać z treści listów, bez poważnego politycznego przygotowania i powagi rzuca na rynek dyplomacji europejskiej wytwory swej bujnej fantazji.

Kwestja jest zbyt poważna by pierwszy lepszy z brzegu domorosły polityk mógł sobie pozwalać na odgrywanie odpowiedzialnej roli jakiegoś opiekuna narodu, czy też premjera, choćby nawet, jak w danym razie—bez teki.

Nie chcemy przypuszczać, żeby to miała być jakaś zręczna mistyfikacja, obliczona na naszą niekorzyść w celu n. prz. podszczucia Prus, któreby zapewne fakt ten odpowiednio zechciały wyzyskać, ale chociażbyśmy mieli nawet w danym razie do czynienia z dobrą wolą i najlepszemi chęciami, sam już fakt samozwańczego ujęcia tak doniosłej sprawy, wysuwanie jej na szpalty zagranicznych pism—gdzie przecież tak łatwo najmniejszy fakt może być obrócony na naszą niekorzyść, dowodzi wielkiej lekkomyślności i w kwestjach tej wagi jest wprost nie do przebaczenia.

Oby hr. Orłowski zaniechał swych donkiszoteryjnych wycieczek i zamiast na bujnym Rossynancie, zechciał już lepiej jeździć jak Sanszo Panszo na zwykłym, niewinnym osiołku.

Taka zamiana oszczędzi nam przynajmniej karkołomnych wycieczek tego ani wybranego, ani powołanego „dyplomaty".

Ś. p. Władysław Dmochowski.

Ś. p. Dmochowski urodził się w r. 1838 w Wilnie, gdzie ówczesne otoczenie wielki wpływ wywarło na rozwój malarskiego



Ś. p. Władysław Dmochowski
artysta-malarz.

talentu młodzieńca, pozostającego tam w bliższym kontakcie z Odyńcem, Syrokomlą, Chodźką, Rusieckim, Moniuszką i innymi.

W 1857 r. wyjeżdża Dmochowski na studja do Paryża.

W r. 1861 powraca do kraju a w parę lat później staje się jednym z bardziej wziętych ilustratorów. Wystawia następnie batalistyczne obrazy w Tow. Zachęty, w końcu zniewolony warunkami, przyjmuje posadę nauczyciela rysunków w instytucie głuchoniemych w Warszawie.

W r. 1884, odziedziczywszy majątek po stryju, mniej czasu może poświęcać pracy artystycznej, jednak widujemy jeszcze jego obrazy na wystawach polskich. Zmarł utalentowany artysta, człowiek nieposzlakowanego charakteru.

Ś. p. Stefan Sierzputowski.

Nowa mogiła i nowa ofiara szlachetnych wysiłków w kierunku pracy kulturalnej na niwie ojczystej.

W Nizzy zmarł młody literat ś. p. Stefan Sierzputowski —



Ś. p. Stefan Sierzputowski
literat, b. wydawca i redaktor „Książnicy".

w Nizzy, dokąd wyjechał z kraju, szukając zarobku i chleba. Pracował uczciwie, jako nauczyciel, lecz ciężka praca nie wystarczała nawet na najskromniejsze utrzymanie.

Przed kilkoma laty podjął u nas ś. p. Sierzputowski piękne w swem założeniu wydawnictwo p. t. „Książnica polska". Gdy świstki brukowe rozchodziły się wówczas w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, „Książnica" — stojąc na gruncie czysto literackim, nie zdołała jednak zyskać sobie liczniejszego zastępu czytelników, łaknących widać nie literackiej strawy, lecz brudnych sensacji z rynsztoka. Zbyt miękki, jako wydawca, stracił wkrótce cały swój fundusz, który rozdrapano mu w przeciągu paru miesięcy.

Rozstał się z życiem z własnej woli... zbyt wyczerpała go walka życiowa.

Cześć jego pamięci.

Ofiara obowiązku.



Teofil Lubach, strażak 2-go oddziału, zginął na posterunku, spadłszy z 5-go piętra w płomienie, podczas akcji ratunkowej przy pożarze. Potłuczony i poparzony na całem ciele, po kilku dniach skonał w strasznych męczarniach. W pogrzebie bohaterskiego strażaka, prócz zwierzchności i kolegów, wzięły udział tłumy publiczności.

OD REDAKCJI.

W dniu 15 lutego r. b. odbędzie się w lokalu naszej redakcji, Królewska 27, w obecności komitetu redakcyjnego oraz osób zaproszonych ze świata literackiego i artystycznego, **pierwsze losowanie oryginalnych obrazów,** przeznaczonych jako **premjum dla prenumeratorów** *Złotego Rogu.*

Losowaniu podlegają 4 obrazy za styczeń r. b. a mianowicie:

1) **Kietlicz-Rayskiego** — „Widok Kazimierza".
2) **Kietlicz-Rayskiego** — „Typ z Chełmszczyzny".
3) **Marjana Puffkego** — „Motyw z Bukowiny".
4) **Stefana Filipkiewicza** — „Studjum".

Termin losowania oznaczyliśmy na 15 lutego, w celu dania możności prenumeratorom, którzy wnieśli przedpłatę nie wprost do naszej administracji, lecz prenumerują przez księgarnie, ujawnienia nam swych nazwisk i adresów, za pośrednictwem tychże księgarń, do dnia 14 lutego włącznie; w przeciwnym bowiem razie będą wyłączeni z losowania ci wszyscy prenumeratorowie, wspomnianej kategorji, którzy w terminie wyżej oznaczonym nie dokonają tej niezbędnej do losowania formalności.

Oprócz ogłoszenia w najbliższym numerze pisma o wyniku losowania, będziemy również natychmiast zawiadamiali o tem, listownie lub telegraficznie, otrzymującego obraz. W *Złotym Rogu* reprodukowany będzie po losowaniu, nie tylko obraz, lecz i podobizna jego nowego właściciela. Prosimy więc Sz. Prenumeratorów by zechcieli mieć w pogotowiu swoje fotografje.

Przypominamy, że obrazami obdzieleni będą tylko ci prenumeratorowie, od których **przedpłata półroczna** lub **roczna** wpłynęła **przed terminem losowania** do kasy naszej administracji.



Femina

SPACER PARYŻANKI.

Osoby niewtajemniczone w sposób życia paryżanek myślą powszechnie, że mieszkanki stolicy świata — owe wytworne *modern-style* laleczki, po wesoło spędzonym dniu i wieczorze — śpią do południa lub w pół leżąco odpoczywają w swych eleganckich buduarach, że przed bramami ich domów stoi zawsze automobil lub kareta—i że wogóle wszelki ruch na świeżem powietrzu jest im mało znany, lub nieznany wcale.

Otóż jest to mniemanie zupełnie mylne, bo niema bardziej czynnego, ruchliwszego, nerwowo-energiczniejszego stworzenia, jak te pseudo-marjonetki, spowite jak teraz w drogocenne futra i kosztowne gałganki. Elegancka paryżanka kładzie się zawsze po północy a przed 9-tą godziną już jest na nogach. Pilno jej do zapoczątkowania dnia nowego, do ukochanego „Lasku"— do wielkich bulwarów, bez których żyćby nie mogła...

Lasek ten, z całą poprzedzającą go nieskończenie długą „Avenue" zmienia od wczesnego ranka zewnętrzny swój wygląd — i co godzina nieledwie, w innej się przedstawia szacie. Przy pierwszych brzaskach dnia krążą po nim jakieś niewyraźne, podejrzane męskie i kobiece postacie. Czerwona chustka na szyi, głęboko na oczy wsunięta płaska czapka każą się domyślać jakiegoś apasza... z nierozłączonemi towarzyszkami a cała ta... kompanja, oddala się szybko na widok ukazującego się policjanta...

Świeże powiewy wiatru rozpędzają mgły - horyzont zaczyna się różowić a na nim rysuje się w coraz to ostrzejszych konturach — sławny *Arc de Triomphe...*

W godzinę później — zmiana obrazu. Zaczynają się pojawiać



Kogo też dzisiaj spotkamy?

na „avenue" amazonki w otoczeniu kawalerów — spieszą do „Lasku". Drogę zalegają wozy od zabierania śmieci — wózki z mleczywem, z pieczywem i t. p. czasem przebiega szybko ulicę wyfrakowany z podniesionym kołnierzem przy palcie, jakiś okaz nocnej bomblerki—spieszący do domu—i znowu ukazują się jeźdźcy w całym sportowym szyku i nikną przy wjeździe do „Lasku".

W godzinę później — zmiana dekoracji. Ze wspaniałych „hotels" i wytwornych willi zdobiących „Avenue" wyjeżdżają rozliczne ekwipaże, zaprzęgnięte w rasowe konie—lub zwinne kuce które służba przejeżdża. Elegancki dogcart, sławnej szansonistki Polaire, obok wspaniałych ekwipaży i karosierów miljarderki Gould. Śliczny tandem z pysznym zaprzęgiem to własność sławnej Bordoni—święcącej niebywałe tryumfy w Ameryce. — Na ławkach „Avenue" zasiadły piękne „Nursy" z dziećmi.—Całe gromady dzieci starszych biegają pod okiem wychowawczyń, zdala na horyzoncie widnieje zbliżający się lotem strzały aeroplan... To wszystko oświecone blaskami porannego słońca...

I znowu w godzinę później— zaczyna się ruch pieszy. Wszystkie wyśnione kreacje pracowni z ulicy *de la Paix*, arcydzieła krawieckie, szewckie, kapelusznicze, kuśnierskie, wszystko to widnieje na „Avenue" w przejściu do „Lasku" na cudnych postaciach, spacerujących paryżanek!...

Ciekawem jest, podsłuchać i podpatrzeć różne małe i większe przygody i okoliczności, poprzedzające te ranne spacery paryżanek. Sprobujmy...

Tylko co zamknęły się drzwi żelaznej, pięknie cyzelowanej kraty, okalającej dom. Raul odszedł, Magdalena pospieszyła do okna uchyliła firankę i obrzuciła czułym wzrokiem odchodzącego. Raul tylko co powrócił ze swej wyprawy do Japonji i dziś po raz pierwszy był u niej na



Panie ze swą asystą na spacerze.

herbacie. Na pięknym ośmiokątnym lustrzanym stoliczku stały przywiezione japońskie filiżanki z niedopitą herbatą—ze srebrnego wazonu napełnionego tuberozami opadały zwolna wonne listeczki, elektryczna lampa przyciemniona abażurem z pięknych weneckich koronek, rzucała dyskretne światło na wytworne gniazdko miłosne, w którem święcono radość powrotu po długiej i bolesnej rozłące... Magdalena podniosła portjery—z koronkowemi obsłonami i naoścież otworzyła okno... Chłodny powiew wiatru owiał rozpalone jej czoło. Stanęła przed lustrem, poprawiła rozrzucone włosy—bajecznie szybko narzuciła płaszcz, etolę, nasunęła fokową czapeczkę—i wybiegła na „Avenue“ spiesząc do „Lasku“. Paryżanka poszła na spacer.

Pan Durand wyjechał do biura. Jest on bardzo zajęty—pani Durand siedzi na ganku swej Willi na „Avenue“ i rozmyśla. Wie, że mąż nie wróci do domu aż na obiad—jest więc zupełnie wolną. Wszystkie jej przyjaciółki i towarzyszki są już w Nizzy lub w Cannes, tam na południu. — Czuje się zdenerwowaną, nudzi się. Mimowoli przyciska dzwonek—zjawia się fertyczna subretka... „Żanetko... ja wychodzę“. Żanetka narządza kostjum przynosi lakierki z białymi kamaszami, podaje żabot, olbrzymią etolę, mufkę, beret, woalkę, rękawiczki. Paryżanka poszła na spacer...

Szesnastoletnia Lulu skarży się na silny ból głowy „Mamo, czuję, że powietrze mnie uzdrowi — idę na spacer“. Mama opiera się, bo „miss“ towarzysząca zwykle pannie Lulu, wyszła na miasto—Lulu nie daje za przegraną, „przejdę się trochę i zaraz wrócę“. „No to idź moje dziecko, ale wracaj prędko, bo będę niespokojna“ Lulu uszczęśliwiona ubiera się z błyskawiczną szybkością i wybiega na „Avenue“. Gdy już straciła z oczów okna rodzicielskie, wskakuje do „auto-taxi“ i każe się wieść, ulicą Malborough... gdzie ją oczekuje wybrany, ukochany... Paryżanka poszła na spacer...

„Tak, tak szanowna pani“ mówi lekarz domowy do 35 letniej swej pacjentnki „Jedno tylko może panią uratować od otyłości. Jeździć konno, fechtować się, tańczyć, a nadewszystko spacerować“. I „pani“ co rano, punkt o 10, odrabia tę ciężką pracą. Chodzi całe dwie godziny i strasznie zmęczona powraca do domu... Jeszcze dwa miesiące a odzyska dawną wymarzoną linję. Pani poszła na spacer...

Na te ranne spacery paryżanka lubi ubierać sie w kolory ciemne, ale wszystkie szczegóły tej rannej tualety, muszą być wytworne, dobrane harmonijnie muszą tworzyć śliczną całość. Teraźniejszy krój sukien spacerowych jest wygodny do chodzenia, odsłania całą stopę, uwydatnia całą grację ruchów. Paryżanki *chodzą* bardzo ładnie, są sprężyste, wygimnastykowane idą szybko śmiało, zręcznie wymijają przechodniów każden krok jest wyliczony. Czyni to wrażenie swobody, jakiegoś sportowego zacięcia, będącego charakterystyką kobiet teraźniejszych.

Spolszczyła Marcèle

Nauczka.

Jedna z młodych, średniozdolnych a bardzo zarozumiałych artystek dramatycznych, spotkała za kulisami teatru w Londynie Sarę Bernhardt, zaczęto rozmowę na temat owej nieszczęsnej tremy, której podlegają artyści. „Nie miewam jej nigdy“— rzekła młoda artystka. „A ja miewam ją zawsze,—odrzekła Sara — i ty, moje dziecko, mieć ją będziesz, z czasem, wtedy, jak będziesz miała talent“!..





Szkolne roboty ręczne.

Wiele warunków, jak wiadomo, składa się na to, że szkolnictwo polskie w porównaniu z zachodnio-europejskiem jest, niestety, zacofanem. Pokolenie współczesne nie wydało Kołłątajów, Konarskich, Staszicow — wielkich pedagogów-reformatorów; gdyby zaś nawet tacy ocknęli się dziś między nami, to nie mieliby możności urzeczywistnienia swych idei i zamierzeń pedagogiczno-reformatorskich.

Metody dydaktyczne, przyjęte w naszych szkołach początkowych i średnich, na Zachodzie oddawna zostały zarzucone; stosuje się to, mianowicie, do metody poglądowo-opisowej, która u nas uchodzi za „ostatni wyraz postępowej pedagogji", a na Zachodzie prawie powszechnie już została zarzuconą i zastąpioną, metodą robót ręcznych.

Oczywiście, szkolne roboty ręczne nie są u nas zupełnie nieznane, lecz, jak dotychczas, stosowane są w bardzo małym zakresie. W naszych szkołach początkowych i średnich uczą niektórych rodzajów robót ręcznych: rysunków, slöjdu, lepienia z gliny, może jeszcze czego innego, lecz uczą jako osobnych przedmiotów, a nie w zastosowaniu do innych przedmiotów. Innemi słowy mówiąc, dzieci w szkołach uczą się robót ręcznych, lecz nie znają wcale *metody tych robót.*

Otóż, spopularyzowanie owej metody bardzo i coraz więcej rozpowszechniającej się na Zachodzie, a najwięcej w amerykańskich Stanach Zjednoczonych, jest koniecznem.

Z punktu widzenia dydaktyki metoda robót ręcznych jest rozwinięciem zasady, możnaby się wyrazić „wyższym stopniem" metody poglądowej. Obie te metody dążą do jednego celu, do tego, by dzieci (uczący się) poznawali treść wykładanych przedmiotów nietylko umysłowo, lecz i konkretnie — zmysłami.

Gdy jednak metoda poglądowa żąda jedynie konkretnego — a głównie za pomocą zmysłu wzroku — poznania konkretnej treści, metoda robót ręcznych polega nie tylko na konkretnem poznaniu, lecz i — przedewszystkiem — na tem, by dzieci wszystko, o czem się uczą, o ile możebne, *same robiły.*

Oczywiście, w większości wypadków dają się robić nie same przedmioty, o których dzieci się uczą, lecz ich modele, względnie podobizny.

Weźmy przykład najprostszy. Ucząc się, tak trudnej i tak zniechęcającej, zazwyczaj, do nauki, zoologicznej klasyfikacji zwierząt, dzieci, zamiast „wykuwać" ją na pamięć, rysują (względnie przekalkowują) zwierzęta — najbardziej charakterystyczne dla każdego rodzaju, dla każdego gatunku. Wyrysowane tvpy zwierząt zostają następnie pomalowane, lub pokolorowane ołówkami, — a w końcu wycięte i — niektóre z nich — pocięte na kawałki. O ileż łatwiej i — w przyjemniejszy sposób—dzieci nauczą się owej trudnej klasyfikacji, gdy wyrysowane i pokolorowane przez siebie zwierzęta same rozgatunkują, gdy z pociętych i pomięszanych ze sobą części dobiorą całości, aniżeli gdyby ją wykuwały na pamięć, z książki.

Ucząc się stereometrji, uczniowie budują z tektury figury geometryczne: graniastosłupy, stożki, walce i t. d. i mierzą ich objętość piaskiem.

Ucząc się fizyki, uczniowie (oczywiście w szkole średniej a nie początkowej) nie tylko wykonywują sami doświadczenia, lecz budują wszystkie potrzebne do nich przyrządy, aparaty i maszyny, a więc bloki, windy, pompy, syreny, zootropy, hygroskopy, stosy elektryczne, mikrofony, telefony i t. d., skończywszy na modelach aeroplanów. Wymaga to—w wyższych klasach—specjalnych warsztatów i pewnej znajomości rzemiosł: stolarstwa, ślusarstwa, tokarstwa. Wogóle, metoda robót ręcznych znajduje zastosowanie do wykładu wszystkich przedmiotów w szkole początkowej, średniej i w uczelniach wyższych, z wyjątkiem tych bardzo nielicznych, których treść jest czysto abstrakcyjną, konkretnie niepoznawalną, np. logika, nauka języków i t. p.

Dydaktycznie metoda, o której mowa, korzystną jest z następujących względów: 1) sprawia, że to, o czem dzieci się uczą, lepiej utrwala się w ich pamięci. (Wprost zbytecznem jest dowodzić, że w pamięci dziecka, zresztą, w równym stopniu i w pamięci człowieka dorosłego, lepiej się utrwali i, co za tem idzie, dłużej się przechowa, obraz oraz charakterystyczne cechy przedmiotu, który samo wykonało, aniżeli gdyby ten przedmiot poznało z opisu tylko, lub nawet z wyglądu); 2) ułatwia, wogóle, naukę i zachęca do niej. Zamiast ,,wykuwać" na pamięć, dzieci zajęte robotami ręcznemi, przyjemnie bawią się — co potwierdzi każdy nauczyciel-praktyk.

Ogólno zaś wychowawcze korzyści tej metody polegają na: 1) kształceniu uwagi i zmysłu spostrzegawczości; 2) rozwijaniu zręczności; 3) kształceniu zmysłu wynalazczości. Wreszcie, bardzo ważne znaczenie metody robót ręcznych polega na kształceniu młodzieży na ludzi czynu, praktycznych, umiejących radzić sobie w życiu.

Gdy ślęczenie nad książką zabija wprost w dziecku, w wieku dziecięcym najenergiczniej przejawiający się „popęd do czynienia czegoś", do wypowiadania się nie tylko za pomocą słów,

lecz i za pomocą czynów, metoda robót ręcznych popęd ten rozwija, kształci, zniewala i uczy do przystosowywania go do określonych, utylitarnych celów. Dziecko, wogóle młodzież, chce zawsze „czynić coś“—idzie o to, by umiała tę wrodzoną skłonność swoją praktycznie wykorzystać. Tego musi się nauczyć w szkole, a do tego celu najprostszą drogą — metoda robót ręcznych.

Oczywiście, młodzież pracująca po kilka godzin dziennie w warsztacie, ucząca się w nim (a nie w domu, na książce) geometrji, fizyki, historji naturalnej, wszystkich wogóle przedmiotów, rozwija też znakomicie swą energję i siły fizyczne.

W rezultacie zatem, dziecko i następnie — młodzieniec uczone metodą robót ręcznych daleko lepiej potrafi sobie później „radzić w życiu“ i prościej zdążać będzie do swych celów życiowych.

D. Ż.



NOWINY I NOWINKI.

Legenda o pierwszej mufce.

Oto kędyś, w północnych sferach żyła księżniczka, w państewku której grasował wyrządzając ogromne spustoszenia wilk, niebywałej wielkości — księżniczka ogłosiła, że rycerz, który zabije to straszne zwierzę otrzyma w nagrodę jej rękę. Kandydatów było dużo — żaden jednak nie dopiął celu. Pewnego dnia, stróże parku zamkowego, znaleźli na skraju lasu zwłoki sławnego wilka, leżące w kałuży krwi, z grzbietu jego wyrwany był duży kawał skóry pokrytej gęstem futrem. Naturalnie ten i ów chciał sięgnąć po tytuł zwycięzcy, ale księżniczka oświadczyła, że uzna tylko tego, który przyniesie brakujący kawał skóry. Nikt nie spełnił warunku...

W kilka miesięcy potem, wśród twardej zimy, księżniczka wyjechała cudnemi saneczkami na spacer. Przy leśnej drodze dostrzegła nędzną chatkę a przed nią ubogo odzianego, lecz bardzo pięknego chłopca, który miał ręce owinięte kawałem wilczej skóry. Księżniczka zaciekawiona, przywołała nieznajomego i stwierdziła, że to był właśnie ów kawał brakującej skóry z grzbietu wilka. „Skąd to wziąłeś? — spytała. — „ To z wilka, którego na wiosnę udusiłem, bo mi porwał koźlątko, a że mi ręce marzną, więc je skórą okrywam“. „Nie wiedziałeś nic o nagrodzie jaką za zabicie tego wilka przeznaczyłam?“ „Nie...“ No, i młody zwycięzca a krzepki dusiciel strasznego wilka, ku wielkiemu swemu zdumieniu, zabrany został na zamek, gdzie odbyły się wspaniałe gody jego z księżniczką. Jako prezent ślubny narzeczona uprosiła sobie ów kawałek futra, z którego kazała zrobić najpierwszą na świecie mufkę...

Si non e vero...

Paryżanka.

Znany włoski socjolog M. Nicefero w dziele swojem poświęconem specjalnie paryżankom, utrzymuje, że te ostatnie przy modzie teraźniejszej, przestały być wcieleniem sławnego szyku... paryskiego. Paryżanka *modern style,* przypomina raczej kobietę Wschodu... Stylowe, wschodnie szaty dziane złotem i srebrem, mieniące się krociami barw, sławne *manteau* o pierwowzorze perskim, przypominające jaskrawością kolorów jakieś przebrania karnawałowe, nadzwyczajne kapelusze zbliżone nieraz do tjary perskiej bożka Mithry; wszystko odbiega daleko od istotnej mody paryskiej — zatraca jej dotychczasowy charakter.

Rękawiczka artystki.

Panna B. utalentowana, śliczna, młoda, o przepięknych blond włosach i szafirowych oczach, stała się pastwą złośliwego krytyka teatralnego, stale ją prześladującego swą widoczną niechęcią. Postanowiła udać się do niego, zajrzeć temu wrogowi w oczy. Wraz z przyjaciółką udała się do gabinetu teatralnej wyroczni... aby zawrzeć zgodę. Wychodząc z tej świątyni krytyki, miała już tylko jedną rękawiczkę i śmiała się serdecznie. Odtąd liczni przyjaciele i koledzy krytyka, mogli podziwiać zawieszoną nad jego biurkiem rękawiczkę o maleńkich ($5^1/_4$) rozmiarach... a przy niej bilet wizytowy artystki, z następującym napisem: „Najzgryźliwszemu z krytyków w dowód przebaczenia“. Zbytecznem jest dodawać, że odtąd krytyki przestały być złośliwe...



Gospodarka miejska.

Od chwili, gdy się u nas zrodziła nadzieja otrzymania samorządu miejskiego, Łódź stanęła na martwym punkcie pod względem gospodarczym i dotąd stoi na nim wytrwale. Nic się nie robi, absolutnie nic! Zapowiedzianą kanalizację wstrzymano, budowa nowej gazowni w zawieszeniu, gospodarka tramwajowa poza eksploatacją, nic nie robi.

Wogóle Łódź jest wzorem zaniedbania i opuszczenia, pomimo, że ludność tego miasta z przedmieściami liczy już 512,000 mieszkańców i że jest to pierwszorzędne ognisko przemysłowe świata. Przy niepomyślnym wogóle stanie hygienicznym i zdrowotnym miasta, przy braku kanalizacji i dobrej wody do picia, Łódź, jak to już zaznaczyliśmy dawniej, nie posiada szpitali miejskich, wszystkie zaś inne—są to instytucje ufundowane i utrzymywane przez osoby prywatne, jak: szpital żydowski, fundacji Poznańskich, bezpłatne ambulatorjum przy nim oraz przytułek położniczy, szpital Anny-Marji dla dzieci—fundacji Herbstów (o którym pisaliśmy obszernie w numerze poprzednim), szpital ewangelicki gminy ewangelickiej, szpital św. Anny fundacji Karola Scheiblera, szpital fabryczny Czerwonego Krzyża, utrzymywany kosztem fabrykantów, szpital fabryczny Tow. akcyjnego Poznańskich, szpital fabryczny Heinza i Kunitzera w Widzewie, szpital fabryczny prywatny sześciu fabryk, jedyny szpital miejski i wreszcie szpital powiatowy św. Aleksandra, przeznaczony dla ludności wiejskiej, w którym jednak mieszkańcy okoliczni nigdy miejsca znaleźć nie mogą; wreszcie najnowszy szpital dla dzieci (żydowski) im. Konstadtów pod Juljanowem. Pozatem jeszcze kilka innych zakładów, powstałych w ostatnich czasach z inicjatywy prywatnej.

Wszystkie one nie odpowiadają nawet drobnej cząstce potrzeb istotnych a miasto w tej ważnej dziedzinie nie bierze udziału! Cóż ono wogóle daje na szpitalnictwo? Zajrzyjmy chociażby do jednego budżetu z lat ostatnich. Przy budżecie rocznym dochodów w sumie 1,388,655 rb. (r. 1910), zarząd miasta daje na szpitale miejskie 2,250 rb. (tylko o 250 rb. więcej niż p. Zonerowi zapomogi z kasy miejskiej—2,000 rb.—na wydawnictwo pisemka: *Łodzinskij Listok!*) Nadto, miasto jeszcze daje 14,400 rb. na szpital tymczasowy dla chorych zakaźnych, 5,000 rb. na utrzymanie zakładu dla obłąkanych w Kochanówce, na przytułek położniczy 300 rb. i dla pogotowia ratunkowego 1,800 rb.

Przy tak skromnych wydatkach na szpitale - *przy braku wogóle długów,* kasa miejska jest *dłużniczką* szpitala, gdyż w budżecie na r. 1910 w pozycji. „spłata długów m. Łodzi“ znajdujemy 7,532 rb. pod rubryką spłaty długów na utrzymanie szpitali miejskich („spłata wydatków z lat poprzednich“).

Wogóle to wszystko, co wchodzi w zakres gospodarki miejskiej, samorządnej za granicą, co stanowi nieodzowne potrzeby kulturalne, społeczne, ekonomiczne, sanitarne i hygieniczne ludności miejskiej, to wszystko w Łodzi zaspakaja się, o ile można, środkami ofiarności jednostek i społeczeństwa. Zarząd miasta zaś nietylko nie współdziała w tej pracy, ale nieraz nawet stwarza przeszkody, bądź przez swą opieszałość, bądź ścisłą zależność od władz centralnych, bądź wreszcie nieuznawanie pewnych potrzeb. Przez takie właśnie nieuznawanie potrzeb, zniechęcono zabiegi grupy ludzi, którzy zebrali spory fundusz i chcieli zawiązać „Towarzystwo upiększania miasta“.

Miasto rośnie z dniem każdym i przez przyłączenia przedmieść i wsi okolicznych rozwinęło się olbrzymio nietylko pod względem ludności, ale i terytorjalnie. Wielotysięczna ludność robotnicza, wypierana coraz bardziej na krańce, skutkiem drożyzny mieszkań, nie ma wcale dogodnej komunikacji tramwajowej, z jakiej korzystają rzesze robotnicze w miastach zagranicznych, Pod względem oświatowym warunki ludności ubogiej są opłakane, jak to już nieraz mieliśmy sposobność stwierdzić na tem miejscu. Warunki zdrowotne tego olbrzymiego miasta nie ustępują warunkom miasteczek a nawet pod wielu względami są znacznie gorsze, z powodu wielkiego nagromadzenia ludności. To też choroby epidemiczne, jak tyfus, ospa, szkarlatyna, wcale nie wygasają w Łodzi.

Taki smutny stan rzeczy jest bezpośrednim wynikiem formy i kwalifikacji zarządu miejskiego. Miasto w krótkim przeciągu czasu urosło na olbrzyma, powstały nadzwyczaj skomplikowane warunki życia, wielkie sploty interesów wszelakich, gdy tymczasem zakres, kompetencje, formy i kwalifikacje zarządu miejskiego pozostały

Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia i potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza, — **Łódź, Inżynierska I.**

te same, co przed laty. Jeżeli takie miasto, jak Łódź, z ludnością przeszło półmiljonową, z życiem kipiącem, nie może mieć samorządu w największem znaczeniu, to powinno mieć przynajmniej szersze kwalifikacje i atrybucje zarządu, zdolnego do ogarniania szerszych widnokręgów życia i głębszych jego potrzeb.

Jubileusz dziennikarza łódzkiego.

Dn. 16 stycznia p. Stanisław Łąpiński, współredaktor i sprawozdawca teatralny *Rozwoju*, obchodził czterdziestą rocznicę pracy dziennikarskiej. Z tej poważnej liczby, lat wogóle ciężkich dla dziennikarza polskiego, a jeszcze cięższych dla tego dziennikarza w Łodzi, przypada 15 lat stałej pracy w jednym dzienniku: *Rozwoju*. Już tych piętnastu starczy za czterdzieści!

P. Łąpiński ur. w r. 1848 we wsi Brzustowo w pow. Opoczyńskim. Do gimnazjum uczęszczał w Kielcach. Od r 1873 pisywał dorywczo do pism różnych. Stałą zaś pracę dziennikarską rozpoczął znacznie później, bo w r. 1893, w *Dzienniku dla wszystkich*, redagowanym ongi przez Perzyńskiego. Następnie przeniósł się do Piotrkowa i tam pracował w *Tygodniu* jako feljetonista i sprawozdawca teatralny. Wreszcie w r. 1898 wstąpił jako stały współpracownik do *Rozwoju* w Łodzi; tutaj się zaznaczył rzadką pracowitością i płodnością dziennikarską.

Poza uciążliwą i pochłaniającą pracą dziennikarską, p. Łąpiński wolne chwile poświęcał pracy twórczej literackiej, której owocem są między innemi utwory sceniczne: „Oblężenie Rakowca“, „Nad Pilicą“, „Kolejarze“, „Czarna kawa“ i „Ojciec“. Utwory te grywane były niejednokrotnie na scenach.

P. Łąpiński pozyskał w Łodzi szeroką popularność i uznanie. Zawsze pogodny, zrównoważony, ruchliwy, pracuje dotąd na posterunku dziennikarskim z całą pełnią energji, którą aby jeszcze zachował przez długi szereg lat.

Pokaz prac uczniów.

Jednym z najbardziej wzorowych zakładów naukowych w Łodzi jest szkoła zgromadzenia kupców, posiadająca od roku przy ul. Dzielnej gmach własny, zbudowany według wszelkich wymagań techniki, hygieny, programu naukowego i pedagogji, mniej więcej w ten sposób, w jaki zbudowano gmach dla szkoły zgromadzenia kupców w Warszawie na Walicowie.

Otóż w chwili obecnej, szkoła handlowa w Łodzi zwróciła na siebie powszechną uwagę wystawą, czy pokazem (mniejsza o nazwę) prac uczniów. Jest tam dużo, bardzo dużo rzeczy pouczających; jest dużo materjału, świadczącego ze wszech miar dodatnio o pracy, postępach i inteligencji uczniów.

Wystawa dzieli się na dwie grupy. W pierwszej wystawiono okazy pracy, włączonej do programu szkolnego, wykonane pod kierunkiem szkoły lub z jej inicjatywy. Grupa druga obejmuje prace poza szkolne. Do prac szkolnych zaliczono przedewszystkiem grafikę, a więc: rysunki, kreślenie, djagrany, mapy. Wobec ogromnego znaczenia wychowawczego rysunków, szkoła handlowa pomnożyła ilość godzin tego przedmiotu do trzech tygodniowo i przedłużyła okres nauki do IV klasy włącznie a dla uczniów klas wyższych urządza nieobowiązkowe lekcje rysunku.

Z okazów wystawionych, przedewszystkiem zwraca uwagę wielka mapa przemysłu Królestwa Polskiego, wykonana przez p. p. Zenona Kozaneckiego i Tadeusza Borowieckiego na zasadzie danych ministerjum skarbu. Są także wcale nieźle wykonane obrazy olejne, rzeźby, modele samolotów, pieców. Są także misternie wykonane roboty, klejone z papieru. Wogóle wystawili swoje prace uczniowie klas od najniższej do najwyższej. Jest to bogaty materjał dla psychologa i dla pedagoga. Tam się zaznaczają wyraźnie uzdolnienia, upodobania, pracowitość, systematyczność, zamiłowanie do nauki, architektury i sztuki, budownictwa i t. d. Słowem wystawa jest ze wszechmiar pożyteczna i ciekawa. Świadczy ona wreszcie bardzo dodatnio o uczniach, o umiejętności zużytkowania czasu wolnego. A to jest miara wielce pocieszająca, wróży ona płodną pracę na przyszłość, dzisiejszej młodzieży i dziatwy szkolnej.

Szkoła muzyczna.

Towarzystwo muzyczne im. Chopina wkrótce otwiera w Łodzi szkołę muzyczną. Narazie zaprojektowany program skromny, nadspodziewanie rozszerzono znacznie. Powstanie szkoły o szerokim zakresie, która będzie kształciła uczniów wszechstronnie w zakresie wiedzy muzycznej, a więc obok nauki praktycznej, t. j. gry na różnych instrumentach, oraz śpiewu, będzie poważnie traktowana teorja, mianowicie teorja i historja muzyki, kompozycja, kontrapunkt. Wogóle szkoła będzie prowadzona według programu konserwatorjum warszawskiego. Przy szkole będzie także klasa deklamacji i sztuki dramatycznej, oraz klasa organowa.

Do szkoły zaproszono bardzo uzdolnionych nauczycieli miejscowych i zamiejscowych. Oto jest już skompletowany personel nauczycielski: Dyrektor szkoły prof. Tadeusz Joteyko; klasa śpiewu solowego prof. A. Miller, klasa fortepianu prof. T. Mazurkiewicz i E. Smidowicz (kurs wyższy i średni), T. Joteyko, W. Powiadowski i K. Rokicka (kurs niższy i fertepjan dodatkowy). Klasa skrzypiec: prof. A. Brandt (kurs średni i wyższy), T. Huciński i H. Goebel (kurs niższy), klasa wiolonczeli. prof. G. Teszner i H. Goebel. Kursy teorji: (zasady muzyki, solfedżja, harmonja, kontrapunkt, fuga, formy muzyczne, instrumentacja, historja muzyki), prof. T. Joteyko i A. Miller. Klasa organów i muzyki kościelnej (śpiew liturgiczny, figuralny, magister choralis, rubricella, pieśni kościelne, style) prof. H. Makowski z Warszawy i K. Fotygo. Klasa deklamacji i sztuki dramatycznej: prof. A Bednarczyk. Klasa instrumentów dętych (flet, klarnet, obój, fagot, waltornia, trąbka, puzon) prof. A. Januszewski, Z. Szczepański, K. Braübigam, J. Goebel, J. Kordys. Otwarcie szkoły zapowiedziano na 15 stycznia r. b.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

4)

Czarny chleb.

— Ale na świecie bywają.

— Wiem. Ja po świecie bywałem. Po miastach, po kolejach, nawet w Ameryce byłem.

— No — i nie zebrałeś pieniędzy?

— Czemu nie. Zebrało się.

— To dlaczego jeszcze służysz?

— Przywykłem. W chacie dosyć rąk— baba umarła, nie chcę dzieciom na karku siedzieć taj próżnować. Z próżnowania i z sytości złe dumki przychodzą. Nie bardzo ja już mocny — zdarł się człowiek w robocie tyle lat — tutaj jeszcze wystarczę.

— Jak się pan nazywa? Czyje te błota?

— Pan to tutaj nigdy nie bywa. We dworze komisarz rządzi. Pan zagranicą żyje, mówią. Nikt jego nigdy nie widział. Polanowo, skarb się nazywa.

— Polanowo. Toć daleko?

— Daleko — bo toć wielkie państwo — het, wszystko wokoło Polanowskie. Musi temu naszemu panu rajem być życie.

Obcy słuchał ze zwieszoną głową. Na dworze było już ciemno, i bardzo cicho. Swierszcze cykały w łozach, czasem plusnęła ryba w toni, jak skry błyskały w trawach świetliki.

Trochę jasności dawał ogień na kominie, mroki zresztą objęły chatę.

— A pan to nawet nie przeczytał telegramy — rzekł chłop.

— Wiem, co w niej jest...

— To poco pan zapłacił tyle pieniędzy. Więcej półtora rubla.

— To ci się zdaje wiele?

— Juści. Dwa pudy żyta można za to kupić — chleba mieć na miesiąc.

— Dałbym sto rubli, żeby tego papieru nie mieć.

To niech go pan rzuci w ogień czy wodę.

— Ale tego, co na nim napisane, nie zatrze ni ogień ni woda.

— Oj, panoczku, czego człowiek nie strzyma. Żyć trzeba, robić trzeba, i milczeć trzeba. A kartę niech pan przeczyta. Tylem się napocił żeby ją dostawić.

Obcy rozwinął machinalnie depeszę — spodziewał się jednego słowa—było ich cały szereg.

Wstał tedy, zbliżył się do ognia, i czytał: „Seweryn żyje—stan groźny, ale możliwość uratowania—doktor ma nadzieję“.

Ręce czytającego poczęły dygotać, usta się poruszyły jakby do okrzyku, ale nie dobył się żaden dźwięk — odwrócił się, podszedł do okienka — wpatrzył się w jasną, letnią noc, i po policzkach potoczyły się wolno łzy.

Chłop z pod oka mu się przyglądał, i nareszcie ośmielił się odezwać:

— Zła nowina, panie?

Głos ten zerwał czar, zaklęcie wrażenia.

Obcy się odwrócił, objął za szyję chłopa.

— Żyje! — wybuchnął okrzykiem.

Chłop się przeraził, osłupiał, schylił się do jego ręki, chciał pocałować.

— Kto żyje, panoczku?

— Człowiek, którego zabiłem.

— Aaaa. To pan dlatego...

— Żyje, żyje, żyje! — powtarzał.

— To pan dlatego, dlatego! zrozumiał chłop.

— Słuchaj! Jak ty się nazywasz?

— Ja? Symon Pytka.

— Powiedz—co ci dać za to, żeś mnie wyratował?

Chłop się żartobliwie uśmiechnął.

— A wtedy — na skorym razie, to pan gotów był do sądu o to mnie skarżyć.

— I depeszę przywiozłeś — drugi ratunek. Co chcesz, mów? Sięgnął, otworzył pugilares.

(d. c. n.)

WIOSNA W R. 1813.

Po długiej i ciężkiej zimie, przyszła mokra
[wiosna
Wylały rzeki: Niemen, Wilja i Łososna,
Nawet małe strumyki wystąpiły z brzegów
Od częstych deszczów, nagle spływających
[śniegów,
Zatapiając pobrzeżne pola, role, łąki...
Tak, że pierwsze, w powietrzu wiszące
[skowronki
Próżno poszukiwały stron dawniej im znanych
Kwiląc ponad grzbietami zagonów zalanych —
Gdyż niejedna, dotychczas sucha okolica,
Była, jako od bólu wezbrana źrenica.
I było dziwnie smutno, głucho i ponuro...
Słońce choć weszło, wnet się okrywało chmurą,
Jakby i ono ciepłej pozbyło się wiary
Mniej grzejąc po przez mgliste od ziemi opary,
Wlokąc leniwie złotych promieni niewodem,
I jakby o zachodzie, gasnąc przed zachodem!
I znów mrok padał gęsty, lub deszczów ulewa...
Przy drogach stały ciche, postrzępione drzewa:
Tu sosna ze śladami zimowej okiści,
Tam jawor z pękiem zwiędłych na wierzchołku
[liści,
Gdzieindziej rząd lip starych, rzekłbyś: szereg
[świadków,
Oniemiałych od grozy przeżytych wypadków,
Z korą w dziuplach, rozpękłą od wichrów
[i pluty,
Niby mundur żołnierski, bagnetami skłuty!
Tam znowu biała brzózka, resztkami warkoczy,
Jak dziewczyna w żałości, kryje mokre oczy —
Próżno się ku niej jarzęb, zostałą z jesieni
Niby sznurem korali, jagodą czerwieni —
Dziewczynie smutno.
Nigdzie kwiatka ni zieleni!
Bo nawet ona wierzba, co na swojej fletni
Pierwsza wije wianuszek Matce Boskiej
[Kwietnej,
Dzisiaj jednego listka nie ma na ołtarzu,
Choć już pod święty Jerzy ma się w kalendarzu.
Stoi do pasa w wodzie, niby łza na rzęsie
Kroplami dżdżu i rosy z nagich prętów
[trzęsie,
I czasem tylko westchnie, gdy wiatr przez
[sitowie
Jakiemś zamarłem echem jej echu odpowie.
Na drogach, na gościńcach jeszcze śniegi
[kopne
Leżą. Patrząc z oddali, myślisz że konopne
Płótna, które wieśniaczka, dobywszy z topieli
Na grobelce, ku słońcu rozciągnięte bieli.
Lecz na grobelce pusto. Nie widać nikogo!
Jeszcze nikt z ludzi nie śmie kroczyć ową
[drogą,
Po której tak niedawno tysiące tysięcy
Szły na północ i przeszły — by nie wrócić
[więcej!
Nikt nie śmie! Między ludem krążą bowiem
[słuchy,
Że tędy dniem i nocą ciągną zmarłych duchy,
Widma, żebrzące głucho u rozstajnych krzyży
Grobu na swojej ziemi i swoich pacierzy!
Że słychać klątwy, jęki, płacz i zawodzenie...
Widziano nawet nocą o miesiącu, cienie
W podartych płaszczach wyschłe od głodu
[szkielety,
Zaczepiające w chatach dzieci i kobiety
Pytaniem, do zagrobnej podobnem modlitwy:
O drogę do ojczyzny! do Polski! do Litwy!
Daremnie proboszcz słowem Bożem uspakajał
Wieść gminną — gdyż zaledwie śnieg co
[nieco stajał,
Ledwie się wychynęły z wody pól zagony
Ów sen, arką przymierza proroczo wyśniony,
Stał się zjawą...
Na drogach, na tem szarem płótnie
Śniegów, ku cichym wioskom rozciągniętych
[smutnie,
Dojrzano, z pod lodowej sterczące skorupy,
Owe widma straszliwe, szkielety i trupy
Z oczyma otwartemi na śmierć i po śmierci,
Z ciałem w krwawiących ranach, porwanem
[na ćwierci,
Półnagiem, czasem nawet zgoła bez odzieży,
Lecz z bronią w martwych rękach...
Poznano żołnierzy!

Kazimierz Laskowski (El).



TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

1)

BOHATER.

POWIEŚĆ.

I.

Jego Eminencja arcybiskup z Malines, a obecnie przemożny ambasador cesarza Napoleona w Warszawie, pan de Pradt, odkąd zwłaszcza przeniósł się z prywatnej gościny u Potockich do obszernego pałacu Brühlowskiego, co tydzień wydawał bal wspaniały, na który zapraszano całe wyższe towarzystwo warszawskie. Starał się Monsignor wesołemi zabawami odwrócić uwagę opinji publicznej od dumań o wielkiej wojnie, której losy przedstawiały się coraz bardziej niepewnie.

Coprawda aż do pożaru Moskwy biuletyny oficjalne głosiły stale zwycięstwa i tryumfy. Nieprzyjaciel miał się cofać w popłochu, pozostawiając wszędzie pole, świetnym orłom napoleońskim. Ton biuletynów zresztą brzmiał i dalej optymistycznie.

Jeżeli nieliczna, zresztą, garstka sceptyków wiadomości podobne przyjmowała z pewnemi wątpliwościami, to przecież prawdą jest, że ogół wierzył w nie bez zastrzeżeń, boć wiara taka stanowiła najkonieczniejszą potrzebę serc i ducha.

Czyżby te wszystkie bezmierne ofiary i poświęcenia miały pójść na marne?

Nie mówiąc o straszliwym podatku krwi, jaki Polska płaciła już od lat tylu, wysyłając kwiat młodzieży na pola walk we wszystkich stronach świata, kraj wyczerpany był także do granic ostatnich materjalnie. Niósł każdy, co tylko posiadał, co mógł udźwignąć na ołtarz mamiących nadziei. Zastawiano żydom srebra rodzinne, klejnoty, pamiątki najszacowniejsze; wyzbywano się ostatniego, schowanego na czarną godzinę talara, wyprzedawano inwentarz żywy i martwy na koszta marszów i przemarszów nieskończonych ilości wojsk, na broń, na amunicję, na żołd, na prowiant. Kiedy się wreszcie zaczęła owa wielka, oddawna zapowiadana wojna—wojna, wywróżona niechybnie z ognistych znaków na groźnem niebie i ziemi, spalonej od piekielnej, niepamiętnej suszy—napięcie uczuć społeczeństwa dosięgło najwyższych krańców możliwości. W nadmiernem napięciu pragnień pęknie z rozpaczy serce narodu, jeżeli zawiodą te ostatnie, najukochańsze nadzieje.

Już wieść o spaleniu Moskwy odbiła się w Warszawie ponurem echem. Desperacki krok wojsk rosyjskich, oddających własną stolicę na pastwę niszczącego żywiołu, ażeby jej nie oddać całej i zasobnej w nienawistne ręce najeźdcy, poczytano za znak złowróżbny dla tak szczęśliwej dotąd gwiazdy Napoleona. Genjalna jego strategja trafiła na opór rozpaczy. Oczami wyobraźni widziano półmiljonową armję bez schroniska wśród surowej zimy północnej—oczami wyobraźni widziano tysiące świetnej młodzieży polskiej, zatraconej wśród zasp śniegowych, drżącej od zimna, wycieńczonej, chorej, poszarpanej kulami... i zadrżały o nią serca matek, żon, sióstr, kochanek...

Biuletyny urzędowe ciągle jednak brzmiały zwycięsko. Niewątpliwie pan ambasador zwąchał pismo nosem, ale nie zdradzał się z tem przed nikim. Przebiegły dworak i wytrawny dyplomata rozumiał, że kłamstwo jest jego obowiązkiem urzędowym, kłamał więc najswobodniej, zastawiając się wobec własnego sumienia, jeżeli go jeszcze w służbie cesarskiej nie postradał całkowicie, przemocną racją stanu. Nawet już w drugiej połowie listopada 1812 roku, kiedy w listach księcia Bassano, wielkorządcy Litwy, jak również w raportach z pola walki zbyt wyraźne matactwa nie pozwalały co do istotnego stanu rzeczy łudzić się bynajmniej, on łudził ciągle wszystkich, złote góry obiecywał i spraszał towarzystwo do siebie na bale.

Dnia 2 Grudnia zachwiał się jednak na chwilę Jego Eminencja w olimpijsko-dyplomatycznym spokoju. Dnia tego otrzymał wprawdzie z placu boju doniesienie o porządnym odwrocie zwycięskiej armji, o nader szczęśliwej przeprawie przez Berezynę, o wzięciu sześciu tysięcy jeńca, jak również o całym szeregu pomyślnych bitew i potyczek, stoczonych przez bohaterskie wojska napoleońskie, ale jednocześnie innemi drogami biegły z ust do ust wieści hiobowe, zadające kłam oczywisty samochwalczym zapewnieniom biuletynu.

— Klęska, klęska! szło groźnie z poszumem mroźnych wiatrów, wiejących od zasłanych trupami bezmiernych obszarów śniegowych, od krwawych brzegów Dniepru, Berezyny i Niemna.

— Klęska! — szeptały rozpacznie blade usta podróżnych, ciągnących od Litwy, klęska, powtarzały smętnie nieuchwytne echa w tysiącach serc narodu.

Ambasador roztoczył wprawdzie baczną czujność, ażeby wieści niepożądane nie przenikały do społeczeństwa przed czasem i nie mąciły błogiego nastroju nadziei, jakie pragnął jaknajdłużej w stolicy Księstwa utrzymać. Przejmowano na poczcie listy z placu boju, tropiono gorliwie kurjerów prywatnych, ale widownia nieszczęść była zbyt blizko, ażeby można było długo straszliwą prawdę ukrywać.

Monsignor zatrwożył się już może poprostu o swoją własną skórę. Czuł, że będzie musiał niebawem zajmowane stanowisko opuścić, bał się tedy, ażeby wobec rozmiarów pogromu nie uczynił tego... zapóźno.

Przerażony pobiegł do gubernatora miasta, generała Dutaillis. Stary żołnierz sfukał uczciwie Jego Eminencję za tchórzostwo, zwymyślał po obozowemu za brak wiary we wszechpotęgę Napoleona i, pod groźą sądu polowego, zabronił szerzenia, niebezpiecznej dla sprawy, paniki. Ambasador nie tyle przekonany, ile steroryzowany postawą wojenną gubernatora, jako dobry służbista, poskromił w sobie niepokój nerwowy, nakazał obawom milczenie i tego wieczora jeszcze, przystroiwszy twarz w maskę niezmąconego uśmiechu dyplomatycznego, z najlepszą w świecie miną przyjmował u siebie na balu magnatów polskich oraz ich piękne córy i małżonki. Do każdej z pań elegancki gospodarz podbiegał we wdzięcznych elastycznych, choć mniej może dla dostojnika kościelnego właściwych, lansadach, a ze swobodą wytrawnego salonowca, zręcznym witał komplimentem.

Pan de Pradt mistrzem był na tym punkcie. Za takiego się przynajmniej uważał. Zdawało się mu mianowicie, że umie zawsze trafić do tych małych, drobniutkich ambicyjek, których pogłaskanie daje jednak najwyższą satysfakcję.

— Ach, hrabino, jakżeż można, wołał, widząc hrabinę Aleksandrową Potocką wchodzącą właśnie do salonu w czarnej aksamitnej sukni, ach jakżeż można było przybrać się tak poważnie — pani, pani w jej krasie wiośnianej? Nie, stanowczo raczej barwiste skrzydełka motyle bardziej by ci licowały, powiewna Psyche, niż ta surowa szata matrony. Zwłaszcza, dodał z filuternem pochyleniem głowy, zwłaszcza... że chciałem ażeby sobie młodzież dziś u mnie trochę poskakała.

Hrabina Anna z Tyszkiewiczów Aleksandrowa Potocka, słynna piękność ówczesnych salonów, znana z dowcipu, przytem naprawdę kobieta wyższego umysłu i charakteru nie umiała teraz z właściwą sobie zręcznością odpowiedzieć na banalny madrygał dworaka. Owszem zmieszała się, niby jakaś z głębokiej prowincji nowicjuszka, która poraz pierwszy wstępuje w progi wielko-światowego salonu. Uczuła, jakby bolesne ściśnienie gardła i gorzkość w ustach.

Jakto, ten człowiek mówi o tańcach w chwili tak tragicznej! Czyż by istotnie nic nie wiedział, czy też rzeczywiście tak daleko idzie kłamstwo i oszustwo dworskiego pochlebcy?

Ach, tańce!

Wogóle tańce nie nazbyt świetnie udawały się na balach u pana de Pradt, a to z tej choćby przyczyny, że poprostu brakowało młodzieży, która by mogła tańczyć walca. Prócz dwuch audytorów ambasady, panów Brévannes i Panat, z których pierwszy nader miły, dowcipny i wytworny, ale w ruchach dość sztywny, do najlepszych tancerzów nie należał, drugi zaś drobny, mały, nikły, w tańcu wyglądał przekomicznie, pozostała w Warszawie jeno starsza gwardja poważnych statystów—mężów stanu, posłów, dygnitarzy cywilnych.

O prawdziwej zabawie tanecznej, o takich szumnych, szalonych pląsach, jakie widywano zazwyczaj w salonach Księstwa Warszawskiego, w obecnych warunkach mowy być nie mogło. Starsi panowie stawali niekiedy w kilka par do kontredansa, już wyłącznie tylko dla ukontentowania pana ambasadora.

Napoleon życzył sobie, ażeby w Polsce bawiono się hucznie.

(d. c. n).

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

50)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

— Tak się żywie, tak się umiera dla sprawy dobrej — kończył wojewoda opowiadanie swoje. — Grzechy ułomnej natury ludzkiej powinny przeważać czyny piękności doniosłej, pokrzepienie dać sercom pokoleń przyszłych, blask ojczyźnie, radość niebiosom. Nie wedle grzechów a win sądź przodków swoich, lecz wedle uczynków dobrych. Przeważy szala pierwszych — grom ciśnij! Przeważy szala druga—nie klnij tamtej. Nie ten jest godzien pochwały, który grzeszyć nie umiał a pokus nie miał żadnych, lecz ten, który pęta złych natchnień skruszył, z dziedzicznym szatanem duszy ludzkiej, bój stoczył zwycięski. Zło jest ci dane, dobra nabywać musisz... Stąd walka i piękno jej — i zacność twoja—i prawo do dumy!"...

Gdy tak mówił, łagodniało marsowe czoło wojewody, głos nabierał dźwięków metalicznych, płonące źrenice tonęły w źrenicach Przemka—i—choć opowiadanie przerywał—długo, długo nie spuszczał oczu z oczu zasłuchanego młodzieńca, pociągając ku sobie jakąś siłą magnetyczną, jakimś cichym szeptem duszy, pragnącej odrobiny serca. — Nadaremno zżymał się Przemko i bunt podnosił przeciwko uczuciom tkliwszym; nadaremno przypominał sobie dawniejszą srogość wojewody i ciężką dolę kuchcika i palipiecy, niesprawiedliwy cios nieraz na barki swoje spadający: chwiały się przed nim złe i dobre szale—i—to wszystko co *było*, tonęło w mgłach, więcej snem przykrym, niż rzeczywistością się zdawało, jakąś omyłką zmysłów, kłamstwem pamięci, może zresztą próbą jego charakteru i mocy duszy. Wojewoda krokiem zwycięskim zdobywał serce Przemkowe.

Ni wojewody, ni siebie nie poznawał teraz Przemko. Jeżeli nie widział się z Perełką, za wojewodą tęsknił. Zrazu cichem pukaniem upominał się o prawo wejścia do komnaty wojewodzińskiej—i zawsze z uśmiechem był witany, aż razu pewnego rzekł pan Włodek:

— Nie pukaj, lecz wchodź śmiało... ot, tak, jak syn do kochającego rodzica.

I dostawał ze skrzyń malowanych szable stare i buzdygany, strzępy jakiejś płachty spłowiałej, która ongi brała wiatr pod siebie na obszarach Rusi kijowskiej, furczała na „Psiem Polu," na równinach Grunwaldu okryła się walk kurzem, warneńskiego boju, krwawiła się wspomnieniem. Pochylony nad świętościami temi, Przemko w pierś swoją wchłaniał czar wielkiej przeszłości, oddychał powietrzem dawnem, wzmożone tętno krwi czuł w sobie, a na swoich ramionach dotknięcie dłoni pana wojewody, dziwne, miłościwe dotknięcie!...

Razu pewnego pan Mikołaj wydostał ryngraf piękny z pięknem malowidłem Chrystusa na tarczy złotej.

— Pradziada—rzekł...

Wpatrzył się w Przemka...

— Dziwnie mi przypominasz pradziada mojego—szepnął... Mam jego konterfekt, gdy pacholęciem był... Jako ty, włos miał lśniący... i uśmiech taki i — wzrok taki!... Weź ten ryngraf... daruję!...

Przemko pochwycił rękę wojewody i gorąco, gorąco do ust przytulił.

Znów długi pocałunek starego pana spoczął na czole młodzieńca.—I od tej chwili duszą całą przylgnął do pana Włodka—i od tej chwili cichy dramat zaczął się odgrywać w sercu Przemkowem.

Nie przeczuwał tego Pełko Jasieniec, bo nic nie wiedział o zmianach, jakie zaszły w stosunku Przemka do pana, a w sercu chłopca lęk się zasiał, coś, jakby niepokój sumienia. Wojewoda przygarnął go do piersi swej starej; miłością, zaufaniem obdarzył... a on, poza jego plecyma knuł spisek, który miał otworzyć drzwi zamku i ułatwić do niego wejście Jasieńcowi i zamierzeniom jego dopomódz. Nie widział w tem występku, ni grzechu żadnego: skrzywdzony był Jasieniec, skrzywdzona pani Dominika. Dwa rozdarte serca miał przed sobą, którym szczęście dawał. Związał się słowem, zaprzysiągł przyjaźń. Kłamać nie umiał, cofnąć się nie mógł. Któż, jeżeli nie on, rozbudził w sercu pani wojewodziny zamierające może marzenia o szczęściu?... któż, je-

żeli nie on był dobrym zwiastunem dni wiosennych, dzięciołem wieści upragnionych? Zdmuchnąć czar bajki, przezeń nawiany — to jedno, coby dać puhar trucizny... Ale— zniknięcie pani Dominiki, porwanie jej przez śmiertelnego wroga wojewody, jeżeliby nie serce, to dumę uraziłoby starego pana — a sprawcą bólu tego, byłby — on!... Trwożył go wzrok wojewody, któryby wtedy spoczął na nim z wymówką, druzgocącą każde serce uczciwe. A jednak — już cofnąć się nie mógł!... Przed oczyma jego stała, drżąca od szczęścia postać pani wojewodziny; przed oczyma jego stał Jasieniec, mąż rycerski pełen wiary w moc zawartej przyjaźni. Plątała się nić wypadków, której końce on w rękach swych trzymał... Nić tę zerwać — to rzucić śmierć w serce pani wojewodziny, zyskać wzgardę Jasieńca. Dwom bogom służyć nie można. Ofiarą walki, jaka toczyła się w duszy Przemka — musiał być — wojewoda.

Blady bardzo, zbliżył się do pana Włodka i wzięty przed chwilą ryngraf złoty, drżącymi palcami złożył na jego kolanach.

— Co to?—rzucił pan Włodek.

Przemko o krok się cofnął—i drżał...

— Darowałem—rzekł wojewoda.

— Nie mogę... tego... wziąć... panie...

Pan Włodek wpatrzył się.

Przemko pochylił się nizko i w milczeniu ku drzwiom się cofał...

— Chłopcze!—krzyknął wojewoda.

W komnacie już nie było nikogo.

Wielki ciężar spadł z piersi Przemkowej... Otrząsnął się—był sobą. Teraz gniew obrażonego pana znowu spocznie na nim — i lepiej, lepiej tak!...

Omylił się...

Wojewoda zapomniał o urazie, a może nie chciał pamiętać. Nie zmienił się w niczem, tylko posępny cień smutku wyniosłe czoło jego owiał. Odtąd, niewołany, nie przekraczał już Przemko progów wojewodzińskiej komnaty, wojewoda zaś nie zadawał gwałtu uczuciom chłopca, lecz się nie zżymał, nie uniósł się gniewem ni razu, tylko, przy spotkaniu się długo na nim wzrok zatrzymywał, w którym wyczytać łatwo było ból, że poskąpił mu żądanej odrobiny serca.

(d. c. n.)



L. COUPERUS.

DUSZYCZKA.

(Z holenderskiego).

(Dokończenie).

IV.

— Do szkoły jeszcze nie chodzisz?

— O, nie! (Tutaj Karolek zadrżał). Pan Suel przychodzi do mnie na lekcje. A w duchu dodał: Na szczęście!

— A bawisz się kiedy w ogrodzie?

— Nie.

— Dlaczegóż?

— Nie wiem. A cobym tam robił?

— A, naprzykład, budować człowieka ze śniegu lub rzucać kule. Chodź ze mną, chcesz?

Karolek był olśniony, ale mama krzyknęła ze złością:

— Ależ, Franku, chłopak odziębi sobie ręce: on nie znosi chłodu.

— Idziemy, chodź, zwijaj się, — krzyczał, śmiejąc się wuj Frank. I Karolek śmiał się również, gdyż wuj był tak rubaszny.

W ogrodzie śnieg był puszysty, wysoki, błyszczący, jak kryształ. Wuj Frank zbierał kupy swojemi ogromnemi garściami i ubijał wielkie masy, aby stworzyły nogi człowieka. Wielki, kwadratowy bałwan!

— Cóż, czy śnieg jest zimny?

— Nie, wuju! — odparł ze śmiechem Karolek, gdyż chciał zostać w łaskach u wuja.

— Czekaj, zaraz się zagrzejesz. Zrób mi kulę, to będzie głowa, ale wielka.

Nie była to łatwa rzecz dla Karolka, ale robił ją najlepiej, aż wreszcie jakoś wybrnął, gdyż mu to sprawiało ogromne zadowolenie. Jakoż, wkrótce wyłonił się człowiek, ciężki, jak kamień, krótki i gruby, jak samojed lub lapończyk w skórze białego niedźwiedzia.

A potem bombardowanie bałwana, jego głowy wielkiej, twardej, zimnej, głupiej...

— Szkoda go wuju, on tak ładnie wygląda, — mówił Karolek, puszczając kulę za kulą.

Było mu ciepło, krew żywiej krążyła po całem anemicznem ciele, z ust wyrywały się głośne okrzyki radości. To było święto śniegu, turniej kul, gra kryształowej białości, walka ze złym, białym olbrzymem, w której Karolek był rycerzem, a wuj — królem, cesarzem!

Jego przedwczesna, dziecięca imaginacja przeobrażała w czyny rycerskie, zabawę tak zwykłą, która jednak dla niego nie była rozrywką, lecz nadzwyczajnem zdarzeniem. Naprężenie mięśni rodziło obfitość uczuć, kiedy później już, w domu, pełny wdzięczności dla wuja, który go

uczył jak być dzieckiem i dla niego sam dzieckiem się stawał, całował Franka tak, że o mało go nie udusił, a bezmiar jego entuzjazmu wyraził się w jednem z tych słów, które czasami wychodzą z ust dziecięcych ku wielkiemu zdziwieniu starszych:

Wuju, ja cię ubóstwiam!...

V.

Wujaszek Frank wyjechał.

Karolek nawet nie płakał, ale doznał takiego uczucia, jak wtedy, kiedy wuj Frank uniósł go do góry i omal nie rzucił na podłogę. I teraz jakby go nagle uniesiono w górę, a potem pozwolono mu upaść. Stał się jeszcze cichszym, jeszcze więcej zamkniętym w sobie. Niedawno, dzięki wujowi, obudziła się w nim pewność siebie; ośmielony przez wuja, na kilka uwag mamy odpowiedział hardo, a względem sióstr i braci był nieposłuszny; raz nawet zdarzyło się to w obecności ojca. Bojaźliwość gdzieś zniknęła i mama powiedziała, że wuj Frank strasznie popsuł chłopca. A jednak — było to zwrócone specjalnie do Karolka — wuj był z nim tylko od czasu do czasu uprzejmym, jak to bywa, kiedy dorośli panowie zajmą się dzieckiem.

Tak, Karolek chciał być zawsze z wujem Frankiem razem, zawsze razem!

I dziecko rosło, marzyło, wyobrażało sobie, że pozostanie z wujem, na zawsze z wujem!

Ale to były tylko marzenia. I razu jednego, kiedy rozigrała się jego przedwczesna, z bólem zmieszana uczuciowość, leżąc w łóżeczku, załkał gorzko, że to były — tylko marzenia.

VI.

Pewnego ranka Karolek zbudził się wcześnie. Wszyscy już wstali i byli ubrani; służące i lokaje z trudem dźwigali kufry, w które Lina trochę pospiesznie pakowała ubrania.

Jeszcze dnia poprzedniego, Karolek, jak przez mgłę, słyszał, że mieli opuścić miasto, aby kilka letnich tygodni przepędzić na wsi, u znajomych.

„Na wsi“, pomyślał, „toż musi tam być ładnie!“ Czytał on coś nie coś o tem w „Opowiadaniach dla młodzieży“ : zamki, pełne wesołych dzieci, konie, ptaki...“

To zupełnie inne życie. Z iskrzącemi oczyma, pociągnął matkę za spódnicę:

— Mamo, mamo!

— Co?

— Czy są tam dzieci?

Mama zaśmiała się z całego serca.

— Nie, Karolku. Mieszka tam tylko pan z panią, są to już ludzie starzy i dzieci ich są już duże, już wyszły za mąż lub pożenili się i wyjechali.

Złudzenie znikło.

— Czy ja muszę z wami jechać?

— Rozumie się. Czyż chciałbyś tutaj sam zostać?

Po przyjeździe jednak, wieś mu się bardzo podobała. I mały zameczek w parku, i woda, i cudny przed domem ogród z kwiatami, zasadzonemi w półksiężyc i gwiazdy i rośliny o dziwnych kształtach i trawa, niby zielony aksamit.

Pokoje były ciemne, z wielkimi rodzinnymi portretami, panowie na nich otyli, pudrowani, a panie wcięte w talji, w wielkich krynolinach i z małemi muszkami na twarzach.

Gospodarze, pan i pani, byli bardzo sztywni, chociaż nie chodzili w starożytnych kostjumach. Zresztą, to były jego pierwsze wrażenia. Później zauważył, że pan jest śmieszny, gdyż, kiedy pokazywał mu rosnące morele, śliczne, aksamitne owoce, niby różowe dziecięce twarzyczki, liczył je wszystkie po kolei.

— Nigdy nie trzeba ich kraść, nie trzeba brać pokryjomu, nieprawda Karolku?

— O, nie, panie.

I Karolek spoglądał na liczone twarzyczki i był szczęśliwy, kiedy pan dawał mu jedną z nich, bardzo maleńką, dlatego, że był taki grzeczny! Pani też go bardzo lubiła, dawała mu często cukierki, które wyjmowała z srebrnego podręcznego pudełka, starannie wyczyszczonego i błyszczącego, jak lustro.

Ale Karolek nie był zadowolony, gdyż oboje państwo zwracali się do niego tonem protekcjonalnym, jak gdyby był zupełnie małem dzieckiem. I Karolek wzdychał za rubasznym i wesołym głosem wuja Franka, który obchodził się z nim zupełnie inaczej.

Siostry Karolka całe dnie spędzały z kilku siostrzeńcami i siostrzenicami gospodarzy, a bracia jego jeździli konno i łódką; mama była zdania, że Karolek był do tego za młody jeszcze i mógł się zaziębić.

A więc błądził sam jeden i z początku nudził się bardzo. Ale później, błądząc, jak mały rycerz melancholijny pod cieniem wysokich, rozłożystych drzew parku, odczuwał tajną radość swojego opuszczenia, radość, politowania godną w tak małem dziecku. Cóż go obchodzili wszyscy, skoro wuja Franka wśród nich nie było? Oni widzieli w nim tylko wątłe dziecko, które nigdy nie mogło być tak zabawnem, jak inne dzieci: „mały sparaliżowany“, jak go kiedyś nazwała jedna z sióstr. Nie zajmowali się nim zupełnie, ale on nie trapił się tem bynajmniej.

A jednak był smutny i smutek przygniatał jego siedmioletnią duszę, takim ciężarem, jak duszę człowieka dorosłego. Wprawdzie, smutek ten chwilami zanikał, kiedy gospodarz domu ofiarowywał mu morelę, lub żona częstowała go cukierkiem, ale wkrótce powracał.

Razu jednego, kiedy przeglądał książkę o cyganach i znalezionem dziecku, dziwna myśl przeszła mu przez głowę:

— Ja pewno jestem dzieckiem znalezionem, jak ten mały chłopczyk!

Przez cały wieczór w parku ta myśl nie dawała mu spokoju i kiedy gospodarz pokazywał ojcu jego swoje morele, wyszeptał:

— Mamo!

— Co, moje dziecko?

— Mamo, powiedz mi, czy ja jestem znajdą!

Twarz jego nie wyrażała smutku, usta były uśmiechnięte: był zadowolony, że tak dobrze odgadł.

Lecz mama zdumiała się i była pewna, że dostał obłędu.

I, w rzeczywistości, dziwnem było słyszeć to pytanie na ustach dziecka bogatych rodziców; wytworne, blade, wysmukłe, ze śliczną, ciemną czupryną, w niebieskiem ubranku ze złotymi guzikami, dziecko to było uderzającym portretem swojej matki, ładnej, eleganckiej i młodej jeszcze. Nie można było mieć żadnych wątpliwości pod względem pokrewieństwa jego z matką a jednak duszą nie byli podobni zupełnie.

Niecierpliwy, domagający się odpowiedzi, zapytywał wciąż:

— Mamo, powiedz, czy ja jestem znajdą?

VII.

Dlaczegóż matka nie wzięła go w ramiona, kiedy usłyszała to pytanie? Przez chwilę nawet pomyślała o tem, ale w parku było pełno osób. Postarała się zapomnieć te dziwne słowa Karolka... Zresztą, dziecko zawsze było jakieś dziwaczne.

A „dziwaczne“ dziecko rosło i zaczęło chodzić do szkoły. Córki powychodziły za mąż, synowie byli w uniwersytecie, ojciec nie był już ministrem, zestarzał się i chorował. Matka jedynie wyglądała jak dawniej, zawsze młoda, zawsze piękna, zawsze wytwornie ubrana. Teraz o wiele więcej zajmowała się Karolkiem, wprost z nudów, gdy często przepędzała wieczory w domu, czytając dla zabicia czasu, leżąc na sofie i ziewając.

— Karolku, masz dużo lekcji?

— Dosyć.

— Co masz do zrobienia?

— Wszystko jedno mamo, nie myśl o tem!

I jego gderliwy głos wyrażał niecierpliwość; dawniej mama nie zajmowała się tem wcale! Ale mama tego wieczora widać chciała być uprzejmą.

— Wiesz, Karolku, że pojutrze przyjeżdża wujaszek Frank?

Jakby iskra elektryczna wstrząsnęła całem ciałem młodego chłopca; książki trzęsły mu się w rękach; blada twarz zaróżowiła się, rzekłbyś, że jakieś światło nagle zapłonęło mu przed oczyma.

Wujaszek Frank!...

Ale to nie był już wujaszek Frank!

Nie zajmował się już tym bladym chłopcem. Nie odczuwał już sympatji dla tego słabego, wciąż jednakowego, milczącego dziecka, które lubił dawniej z litości; teraz Karolek miał trzynaście lat i to może było powodem zaniku sympatji.

Wuj Frank sądził, że wyrósł z niego chłopiec wesoły, swawolny i silny, który nie dawał sobie w kaszę dmuchać.

— Bijesz się czasem z kolegami?

— Nie, wuju.

O, jak on chciał kiedyś pobić się naprawdę! Raz mu się to nawet zdarzyło, ale sromotnie przegrał bitwę i wstydził się powiedzieć o tem wujowi Frankowi.

— Wuju?

— Co?

— Ty już nie kochasz mnie tak, jak kiedyś?

Wuj Frank spojrzał z uwagą na mówiącego: siostra miała rację, to było rzeczywiście szczególne dziecko.

— Owszem, chłopcze, ale powinieneś być wesoły, nie zaś powolnym.

W głosie jego czuć było coś z tonu dawnego.

— Gdybym był zawsze z tobą, byłbym wesoły, nie powolny.

Serce mu mówiło, żeby prosił wuja Franka o zabranie go z sobą za granicę.

Nie śmiał jednak.

Nie, wuj Frank nie był już wujem Frankiem.

Z Włoch przywiózł ze sobą drogocenne marmury i statuetki. Stały one w jego pokoju i Karolek podziwiał je często i próbował je nawet kopjować, gdyż ładnie rysował. Jedna z tych postaci, naga bogini, stłukła się. Rozsypała w białe kawałki po podłodze.

Wuj Frank okropnie się rozgniewał.

— Czyś ty to zrobił?

— Nie, wuju, to nie ja!

— Więc któż? Nikt tu nie wchodził...

— Upewniam cię, wuju, że to nie ja; pewnie mała Da, wuju...

— Kłamiesz, tyś stłukł...!

Dziecko zatknęło się; wszystkie nerwy mu drżały.

Była chwila, że chciał się rzucić na wuja Franka, ścisnął pięści...

Powstrzymał się jednak, i z arystokratyczną dumą poczucia obrazy wycedził:

— Ty sam kłamiesz, jeśli tak mówisz!

Uczuł się głęboko nieszczęśliwym.

Pierzchły najsłodsze wspomnienia jego samotnego życia. Nic mu nie pozostawało. Przesadzając swoje uczucia, przesadzał i rozpacz; stracił przyjaźń wuja Franka, swego ideału. Nic mu już nie pozostało.

Nie myślał już, że może jeszcze żyć lata, z pożytkiem dla społeczeństwa, w osobistem szczęściu. Nie myślał o tem, gdyż był dzieckiem opuszczonem.

I w głowie jego dojrzało tragiczne postanowienie. Ludzie dorośli nie podejrzewają wcale, że podobna sprawa może dziecko przyprawić o śmierć, gdyż zapomnieli o tem, co sami przechodzili w dziecięctwie, co głęboko odczuwali, gdyż myślą, że w życiu dziecka — wszystko jest dziecinne.

Chciał, żeby upłynęło dni kilka, gdyż wuj Frank nie powinien był nigdy wiedzieć, że on był przyczyną, że przyczyną było zawiedzione ubóstwienie.

A po upływie tych kilku dni, wieczorem, wymknął się do ogrodu i rzucił się do stawu, który leżał za domem wspieniony, zielonkawy, cuchnący...



CHARLES G. D. ROBERTS.

INTRUZ.

Koń, wiedziony jakąś niezbadaną intuicją poznał, że ów gość nieproszony stanowi źródło tajemniczego nawoływania. Pomimo wszystko, był to tylko ptak małoznaczny w porównaniu z orłami pirenejskich wyżyn. Wobec tego, bojaźń jego zczezła i ułożył się do snu.

Wyczerpany, dniami i nocami ciągłego strachu i naprężenia, nieszczęśliwy wygnaniec zapadł w sen twardy. Ale niedługo wśród blasku gwiazd przyczaił się czerwony lis, aby polować na myszy wśród suchych traw wyżyny. Na widok nieznanej istoty, drzemiącej u stóp skały, cofnął się wyprowadzony z równowagi.

Nigdy jeszcze dotąd nie widział nic podobnego, a i woń była także jakaś inna i odrębna dla jego przeczulonych nozdrzy. Przyjrzawszy się przybyszowi dokładnie ze swego ukrycia, począł się skradać dokoła skał, obserwując tajemnicze zwierzę. Napróżno, nie mógł dociec jakiego jest rodzaju, więc przyglądał się jego śladom, chcąc znaleźć odpowiednie wyjaśnienie. Ślady jednakże były zupełnie odmienne od tych, które znał dotąd. Wreszcie zdecydował się odłożyć polowanie, a skupić całą uwagę swoją na owem nieznanem stworzeniu. Wkrótce po odejściu lisa, krzaczasty ryś wyszedł z za skały i pięknem, a okrutnem spojrzeniem objął okolicę w nadziei, że ujrzy bawiące się króliki. Wzamian atoli zobaczył zamglony, biały zarys konia.

Niebywałe zdziwienie odmalowało się w spojrzeniu zwierzęcia, na ten tak mało oczekiwany widok.

Ślepia jego rozwarły się szeroko, bardzo szeroko, futro najeżyło się na grzbiecie, maleńki ogonek rozczapirzył się jeszcze więcej i warknąwszy głucho cofnął się w gąszcz leśny. Nieprzyjemny ten dźwięk nie przestraszył jednak drzemiącego zwierzęcia, uszy jego pełne jeszcze były groźnych pomruków morza. Około drugiej po północy, w owej mistycznej godzinie majaczącej jutrzni, biały ogier otworzył ślepia i otrząsłszy się podszedł do potoku, aby zaczerpnąć nieco wody, poczem jął skubać trawę. Tymczasem las, który dla mniej bacznego oka pogrążony był w absolutnej ciszy, zwolna budził się do życia. Daleko, z jakiejś wyniosłej skały łasica zaskomliła ostro. Ledwie dosłyszalne poświsty i piski świadczyły, że mnóstwo różnorodnych stworzeń ocknęło się ze snu. Gdzieniegdzie mysz mknęła w trawę. Nagle i wysmukły jeleń wyszedł z zarośli i kierował się w stronę potoku.

Rogacz, pierwszy spostrzegł ogiera i zdziwiony zatrzymał się z głośnem parsknięciem, zaczepnem. Koń odpowiedział rżeniem, podejrzliwie mierząc intruza, po chwili atoli podskoczył wesoło. Nie powodowała nim trwoga, raczej nadzieja towarzystwa wśród samotności nocnej. Lecz jeleń nie był nastrojony przyjaźnie. Żyły jego naprężyły się, a nastrój wojenny go ogarniał. W każdym obcym węszył dziś wroga, a widok ogiera napełnił go nienawiścią. Zirytowany począł mocno bić ziemię kopytami, wzywając konia na pojedynek. Dla wierzchowca jednakże był to język niezrozumiały. Bardziej jeszcze zbliżył się do jelenia i delikatnie wyciągnął węchy swoje na znak zapytania.

W odpowiedzi jeleń potoczył się niby piłka w bok, stanął na tylnych łapach i jak błyskawica rzucił się na konia, kalecząc go swojemi ostremi kopytami. Była to dzika napaść i dwie czerwone i głębokie blizny skalały jedwabistobiałe boki ogiera.

Wówczas łagodność wędrowca zamieniła się we wściekłość. Nadużyto jego zaufania. Z ostrem rżeniem, z pyskiem szeroko rozwartym porwał się na swego przeciwnika. Natomiast jeleń był spokojny, nie przeczuwał jak groźnego ma przed sobą nieprzyjaciela, przekonał się o tem zbyt późno, pod wpływem razów otrzymanych kopytami. Była ich kilka zaledwie, ale każdy śmiertelny!

Wymierzywszy sprawiedliwość w sposób tak gwałtowny, ogier ochłonął. Popędliwość jego zanikała, widok krwi zmęczył i odrazą napełnił. Po chwilowem wahaniu skierował się ku ciemnej gęstwinie.

Słońce już wschodziło, gdy znalazł się na płaskich, błotnistych brzegach potoku, ponad tonią, mieniącą się liljowymi blaskami, pomiędzy smugami białych oparów.

Dokoła jeziora, wśród opalowych obłoków stały poważne i wyniosłe sosny. Moczary w złotem zabarwieniu jesieni przypominały poniekąd wędrowcowi strony rodzinne.

Nęciła go słodka woda, pastwisko, sposobność wydostania się z gęstwiny leśnej. Zatrzymał się aby odpocząć, a w wodach jasnych i tak zimnych, że rankiem więziła je powłoka lodowa, szybko wygoiły się jego blizny. Około dziesięciu dni spędził już w obrębie jeziora i brzemię samotności nużyło go nieskończenie. Głęboko przekonany, że jest jedynym tworem żywym wśród tych niezmierzonych obrębów, szedł poprzez bagna z najeżoną grzywą i ogonem rozwianym, podziwiany przez dzikie bestje, które powodowane trwogą kryły się przed jego wzrokiem. Raz tylko zobaczył dzikie kaczki podróżujące na południe, które z wrzawą i krzykiem opuszczały się na wodę; jastrzębie i sowy, których łowy burzyły mu sen. Kilkakrotnie też

z dalekiego krańca jeziora dochodziło go głośne wezwanie, wychodzące z krtani niewidzialnego stworzenia, wówczas zrywał się na równe nogi, taka drżała w niem groźba. Czasami zwracało jego uwagę nawoływanie podobne, atoli mniej ochrypłe, bardziej niecierpliwe i długie. Wszystko to jednakże stanowiło zagadkę, łosie bowiem, zarówno samce jak i samice i inni mieszkańcy lasu, zdawali się być w porozumieniu ze sobą, stronić od białego intruza, który jakby przyswoił sobie panowanie nad jeziorem.

Wreszcie pewnego wieczora o zachodzie, gdy liljowe smugi rozchodziły się dookoła a on pasł się na łące, do wprawnego ucha jego doszedł tętent mnogich kroków. Szybko, uniosłszy łeb zobaczył całe stado dziwacznych istot uzbrojonych w ciężkie rogi białobronzowe, zdążające gęsiego w stronę jeziora. Dowódca reniferowego stada, olbrzymi byk biały z rogami niemal podobnymi do rogów łosia, odpowiedział na pytające wejrzenie ogiera, łagodnem muśnięciem wzroku, nie zatrzymał się jednakże wcale.

Cała ta gromada zdążała gdzieś pospiesznie, obojętnie też przesunęła się obok konia. Ogier z łbem podniesionym i nozdrzami rozwartemi stał dopóty, aż ostatni zwierz zgubił się w gęstwinie. Poczem samotność pastwiska nagle ciężkiem przygniotła go brzemieniem. To nie stado skręcające na zachodzie napełniło go takim smutkiem, tęsknił za dłonią ludzką, stajnią i końmi. Wmówił w siebie, że prędzej czy później cel swój osiągnie i zawrócił się na zachód. Miał już dosyć jeziora i nagich bagnisk.

Torując więc sobie drogę po przez gąszcz zgniłych, przewróconych pni i chrustu dostał się na wodę najzupełniej różną od tej, jaką opuścił. Brzegi jej nie były pokryte trawą lecz strome i obficie zarosłe drzewami, tylko z jednej strony wrzynał się w nią cypel piaszczysty, długi na jakieś dwieście łokci, a nad ciemnym zarysem borów zwieszał się żółty księżyc. Wyszedłszy z gąstwiny, wędrowiec badał ciekawie ten nowy dla siebie świat. Nagle, wśród niezamąconej ciszy, na piasku oblanym blaskiem miesiąca dał się słyszeć trzask łamanych gałęzi i zarysowała się sylwetka dużego nierogatego zwierza. Wysunęło ono swoją długą szyję i rzuciło po przez wodę, ostre beczące wezwanie słyszalne co noc niemal. To samica łosia wzywała samca. Po chwili też wraz z łoskotem druzgotanych konarów drzewnych rozległa się odpowiedź w zaroślach na przeciwległym brzegu.

Z ciekawością i niepokojem biały ogier przysłuchiwał się hałasowi. Jakaś groźba drgała w tym szeleście i wraz z graniem krwi w żyłach, opanowała go chęć walki. Wreszcie wszystko się uspokoiło, cisza zapanowała zupełna, przerywana niekiedy nawoływaniem samotnej łasicy. Nagle, tak niespodziewanie, że koń parsknął gwałtownie, w krzakach w oddaleniu co najwyżej dziesięciu kroków ukazał się czarny, olbrzymi rogacz. (dok. nast.)

Odpowiedzi Redakcji

P. S. W. Nadesłany artykuł p. t. „Życie a trochę Piękna“, ze względu na szablonowe opracowanie tematu, zresztą wielokrotnie już omawianego, nie będzie drukowany w „Złotym Rogu“.

„Smutnemu“ Nadesłany utwór, p. t. „Smutno mi Boże“ — jako licha trawestacja wiersza Słowackiego—nie będzie drukowany w „Złotym Rogu“.

P. M. P. Utworów scenicznych narazie zamieszczać nie będziemy. Rękopis zachowaliśmy do zwrotu.

P. K. W. „Anonim“ i „Między małżonkami“, jako utwory pozbawione wartości literackiej — nie będą drukowane w „Złotym Rogu“ Rękopisy zachowano do zwrotu.

P. St. Mark. Co do rękopisów Odyńca chętnie byśmy się porozumieli, nie złożył nam jednak Sz. pan swego adresu.

POPULARYZACJA WIEDZY

Osy, jako architekci.

Wśród owadów znamy liczne gatunki, odznaczające się specjalną zdolnością do budownictwa, w pierwszym jednak rzędzie między nimi wymienić należy osy, których gniazda od dawien dawna stanowiły przedmiot podziwu. Jak każda sztuka, tak i sztuka budownictwa u os rozwija się stopniowo. Jako pierwsze jej zaczątki uważać należy najprostsze gniazda samotnie żyjących os, wygrzebywane w postaci zwyczajnych otworów w piasku, lub glinie, po jednym takim otworze dla każdego jajeczka. Stopniowo dopiero, gdy liczne gniazda różnych os, budowane przypadkowo w jednem miejscu, przedstawiającem jakieś pomyślniejsze warunki, poczęły tym owadom przynosić pewną korzyść, nauczyły się osy tworzyć roje, budujące wspólne gniazdo, złożone z pojedyńczych rurkowatych komór, z których każda stanowiła jeszcze początkowo oddzielne mieszkanie. Towarzysko żyjące gatunki powstały bowiem z biegiem czasu stopniowo z gatunków, których osobniki żyły samotnie. Dowodem tego są stopniowe fazy, w jakich właśnie powstaje dziś budowa skomplikowanego, a kunsztownego gniazda takiego roju os towarzyskich, przypominająca z początku oddzielne mieszkania os samotnych. Za materjał służą im różne substancje, przeważnie jednak dziś kora i włókna drzewne, nawet porosty i wodorosty, cząstki liści i t. p. Jeden tylko gatunek os południowo-amerykańskich, Polybia cayennensis, stanowi wyjątek, budując na



Rys. 1. Gniazdo osy średniej z jedną okrywą gotową i drugą rozpoczętą.



Rys. 2. Gniazdo osy średniej.

podobieństwo os samotnych jeszcze gniazda z gliny i piasku. Oddzielne części materjału budowlanego osy rozgryzają, mieszają z lepką śliną, tworząc w ten sposób ciastowatą masę, którą nóżkami i szczękami wyciągają w podłużne wstęgowate paski, z których w odpowiedniem miejscu pod obranym lub przyrządzonym daszkiem poczynają budować gniazdo, wykończając je stopniowo aż do jesieni.

Do os samotnych należą kopułki (Eumenes) i murówki (Odynerus); klecanki (Polystes) mają gniazda niezakryte; inne, nieliczne, korzystają z okrycia naturalnego, jakie daje drzewo, dach czy mur; najczęściej otaczają osy towarzyskie gniazda swe sztuczną, pojedyńczą lub podwójną okrywą. Zastanawiającem jest, że gatunki przywykłe budować gniazda z okrywą, nie czynią tego, jeżeli gniazdo znajdzie się pod okrywą naturalną, np. w wypróchniałem drzewie lub otworze w ziemi. Każdy gatunek os towarzyskich, buduje okrywy innego kształtu i struktury, nieraz bardzo ozdobne i kunsztowne, które pod względem białości i twardości nie ustępują niekiedy papierowym kartonom, lub znowu (jak u Polybia scutellaris) zaopatrzone w liczne zęby lub kolce, przybierają postać olbrzymiego owocu kasztana. Niemniej rozmaita jest budowa wewnętrzna gniazda. Najprostsze składają



Rys. 3. Gniazdo Chartergus chartarius z kartonową okrywą (Ameryka połud.)



Rys. 4. Przekrój gniazda Chartergus chartarius.

się z komór, przyczepionych wprost do gałązki drzewa, przechodzącej przez środek gniazda, lub do ściany domu. W innych osy same łączą z sobą oddzielne komory gniazda. Nasze gatunki przyczepiają pierwszą komorę do gałązki, czy innej naturalnej podstawy, budując następnie inne równoległe do niej i zwracając zawsze wszystkie otworami ku dołowi; u góry zaś łączą one je z sobą i z pierwszą sztucznemi beleczkami poprzecznemi. Najkunsztowniejsze gniazda buduje Polybia rejecta. Objętość gniazda zależy i od ilości osobników roju i od wytrzymałości podstawy, np. gałązki, na której ma wisieć. Wymiary każdej komórki zależą od wielkości mieszkańców; niektóre gatunki budują komory mniejsze od 1 milimetra; nasze najczęściej — 12 milimetr. w średnicy. Z jajeczka, które składa matka, czyli królowa roju po jednem w każdej komórce, wychodzą, larwy, które u naszych os po 2 — 3 tygodniach zamieniają się w poczwarki, a te po 10—15 dniach rozwijają się w owady doskonałe. Z początku tworzą się z jajeczek tylko bezpłciowe robotnice; później dopiero zakładane są nie co większe komórki, przeznaczone do wypielęgnowania w nich osobników płciowych, samców i samiczek. Postać i budowę niektórych gniazd przedstawiamy na rysunkach 1—4.

M. Heilpern.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ. Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 k. **Reklamy**—40 k. **Ogłoszenia na 3 str. okładki** 20 k. **Na 4 str. okładki**—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.“ Redaktor **Feliks Kwaśniewski.** Kierow. liter. **Wacław Grubiński.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.